Nr. 32. Warszawa, dnia 31 Lipca (12 Sierpnia) 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKA SPOŁECZNA · NAUKA PRZYRODNICZA · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Położenie Austryi.

Nieszczęsny ów paragraf czternasty prawa z d. 21 grudnia 1867 r., które na miejsce konstytucyi szmerlingowskiej, centralistycznej, postawiło nową, powołaną przez logikę umysłu i psychologię gromad ludzkich do utorowania drogi organizacyi federalistycznej — grozi rozburzeniem Austryi, jeżeli rząd jej w porę nie znajdzie jakiegoś innego punktu oparcia dla praw przez siebie wykonywanych. Nie rozpadnie się wprawdzie od niego wprost całość trzymana w spójni przez urzędników i armię; ale tak osłabną moralne węzły między rządzonymi a rządem, tak ten punkt środkowy państwa utraci niezbędną do funkcyj nowych powagę, którą bądź postrach, bądź dobrowolne dośrodkowe popędy podtrzymywać muszą, jeśli państwo zamrzeć nie chce — iż potem już z nieprzepartą siłą rozkład zacznie się spełniać w rzeczywistości umysłowej, zatem przejdzie w rzeczywistość polityczną urządzeń państwowych i w ruch je wprawiających sił ludzkich, zbiorowych i jednostkowych.

Paragraf rządzący obecnie Austryą nietylko bagatelizuje Radę państwa i wszystkie jej uprawnienia w siebie wsysa, ale nawet jako ostatnia prawowita ucieczka przeciwko bezładowi i martwocie w zastosowaniu swojem do danych wypadków jest bezprawnym: podwójnie zatem musi gniewać, oburzać i ów umysłowy rozbiór Austryi z przyczyn wewnętrznych przygotowywać. W tekscie prawa powyższego nie powiedziano bynajmniej, że kiedy Rada państwa czegoś uchwalić lub wogóle skutecznie obradować nie może, cesarz będzie mógł jednostronnem rozporządzeniem swojem zastępować niedochodzące uchwały ciała prawodawczego: w tekscie powiedziano tylko, że jeśli wypadnie nagła potrzeba pod nieobecność Rady państwa, mogą ministrowie wszyscy jak są wyjednać rozporządzenie cesarskie i wszyscy też podpisać je powinni. Inne zupełnie wypadki miał prawodawca na myśli, nie takie, jakie stosunki ugodowe z Węgrami nasunąć muszą. Chodziło mu o rzeczywisty *Nothgesetz* w wypadku nagłym, kiedy nawet zwołanie Rady państwa byłoby już czynem spóźnionym, liczył się z absolutną niemożnością uchwalenia prawa potrzebnego natychmiast. Warunków takich brakło ugodzie z Węgrami: paragraf, który jej moc prawną nadaje, sam jest bez mocy.

Niepodobna nie przyznać Niemcom formalnej słuszności, gdy rozporządzenia, ogłoszone parę tygodni temu w *Wiener Ztg*, na podstawie § 14 nazywają bezprawnemi. Jeżeli Węgrzy przystali na paragraf, kazali sobie zapłacić haracz w samej treści rozporządzeń, stanowiących dotychczas ujawnioną ugodę. I to jest również wodą na młyn niemiecki. Formalnie stronnictwa stojące po prawicy, a nieosobliwie dziś już zwarte, mają prawo za sobą, gdy zarzucają Niemcom zatamowanie działalności Izby i wytworzenie warunków, w których § 14 sam przez się musi pełnić funkcyę całej konstytucyi, uważanej za sumę i systemat uprawnień politycznych narodu, a raczej tego zbioru, jakim w Austryi jest *das politische Volk* teoretyków prawa państwowego; ale Niemcy na obronę swoją mają głębsze przyczyny, mają wyzywające działanie rządu, który był niby rządem prawicy: gdyby nie rozporządzenia Badeniego, zmienione przez Gautscha, nie byłoby opozycyi, nie byłoby też i jej skutku — ubezpłodnienia władzy prawodawczej, w jej głównym, najważniejszym podmiocie — Radzie państwa. Wina Niemców jest bezpośredniejszą, większą i cięższą; ale dla psychiki dziejowej wina przeciwników jest może ostrzej jeszcze pobudzającą. Przesądzanie o przyszłości Czech bez porozumienia się z żywiołem niemieckim, niedającym się wyrwać z ich dziejowego jestestwa — było żagwią rzuconą na dach sąsiada: teraz sąsiad wstrząsa fundamenta.

Ostatecznie hr. Kazimierzowi Badeniemu, który najpiękniejsze położenie, jakie w życiu swojem mógł mieć mąż polityczny, po kawalersku zmarnował — zawdzięcza Austrya dzisiejszą swą niedolę: zawdzięczają i Polacy to bankructwo samego imienia polskiego, to uniezdolnienie do rządów ogólnych nad całą Przedlitawią, tę niewiarę, nietylko samego cesarza, ale słusznie i ludy monarchii przedlitawskiej przejmującą ku zdolnościom, talentom, sprytom czy rozumom stanu polskim. Gdy nawet drobne gminy niemieckie na całym obszarze państwa protestują, a rząd nie ma już wcale odwagi, nie ma już nawet potrzeby i celu unieważniać tych protestacyj, łamiących ustawy gminne: gdy stronnictwa postępowe i radykalne bez względu na narodowość powtarzają hasła niemieckie i piorunują na paragraf; gdy ze sporu dwóch trzeci, Węgier, korzysta, aby ich obu w klatce swoich głupio-egoistycznych, o życie całości niedbających interesów zamknąć; gdy stan obecny, w razie utrwalenia się, musiałby wywołać gorszą od największej nawet dla Niemców uległości katastrofę — jedno tylko pozostaje: uledz i Niemców do rządu napowrót wpuścić, poświęcając ten zgniły owoc, który p. Badeni zostawił Przedlitawii na drzewie swego rozumu stanu. Można bez krzywdy i samo drzewo wyciąć i spalić. „Kawaler-

ska jazda" to się jeszcze rozumie, ale kawalerska polityka — w Austryi dzisiejszej, w Austryi osaczonej z zewnątrz i z wewnątrz — to droga rozkładu i śmierci. Niemcy wrócą, a wrócą straszni: centralizacya szmerlingowska będzie ich hasłem. Niema ratunku: nad przepaścią wązka deseczka; albo nowy dyplom październikowy i federalizm, o ile on przy monarchii jest możliwy, albo Niemcy z brutalną nawet samowiedzą i brutalną też siłą.

Tydzień polityczny. Proces Dreyfusa w Rennes rozpoczął się d. 7 b. m. Prezydujący, pułkownik Jouaust, przesłuchał oskarżonego, który nie przyznał się do winy, i na tem skończyły się czynności dnia pierwszego: dni następnych sąd, złożony z sześciu jeszcze innych oficerów, na osobności badał dokumenty w ministeryum wojny i min. spraw zagranicznych, przedstawione mu przez gen. Chanoine'a i niejakiego Paleologue'a. Czynność ta miała się skończyć w piątek; na sobotę zapowiedziano drugie z rzędu posiedzenie jawne. Gmach posiedzeń, liceum, zupełnie odcięty jest od miasta i jego ulicy. W sali sądowej miejsca tylko za biletami; lwia część ich dostała się dziennikarzom. Gen. Mercier ma poczynić jakieś piorunujące odkrycia; hr. Münster miał zażądać zupełnej nietykalności tajemnic niemieckich — pogłoski szerzone przez partyę generalską.

Wyjazd Delcasego, ministra spraw zagranicznych, zabił nielada klina w głowy dziennikarzy, nadymających się na dyplomatów. Podróż nie jest bez przyczyny, bez powodu i pobudki; ale dopiero po fakcie będzie można zasłonę z nich uchylić. Oczywiście, o zamąceniu stosunków mowy być nie może.

Chamberlain d. 1 b. m., w trzy dni po jednoczesnej z produkcyą krasomówczą Salisburego w Izbie lordów, mowie swej w Izbie gmin przeciwko Transwalowi, posłał mu *ultimatum* w postaci żądania, aby pretensye Anglii i odmowę rzeczypospolitej oddać do rozpatrzenia umyślnej komisyi mieszanej, któraby orzekła, jakie prawo wyborcze rzeczpospolita nadać może, a jakie nadać powinna, żeby nie pogwalcić interesów angielskich. Volksraad wyższy w nocy z poniedziałku na wtorek b. tyg. żądanie to odrzucił. Dzienniki donoszą o wysyłaniu pułków na Przylądek. Zdaje się, że teraz ostatnia niteczka nerwu uczciwości w organizmie angielskim pęka. I Chamberlain i Salisbury brutalnie postanowili zdeptać i zmiażdżyć, bo Afrykę południową chcą mieć całą i niepodzielną. Wojna, wbrew przewidywaniom pierwszej chwili, prawie nieuniknioua; śmierć rzeczypospolitej, w razie pomyślnego układu stosunków w świecie dyplomatycznym, nieuchronna; zapowiadany ruch Afrykanderów, Holendrów Przylądka — tylko pragnieniem; rozbój na porządku dziennym.

Dzienniki urzędowe i półurzędowe streszczają i oceniają uchwały konferencyi w Hadze. Uczynił to i *Goniec urzędowy*; nie zaniedbała uczynić i królowa angielska w mowie, którą d. 8 b. m. zamknęła parlament.

Hr. Gołuchowski nie zobaczył się z ks. Hohenlohe w Aussee w terminie oznaczonym; widział się z nim cesarz d. 6 b. m. i rozmawiał bez świadków.

Skupczyna serbska zwołana na 19 b. m.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

NOWY KREDYT.

Zatwierdzono przed paru tygodniami ustawę Banku handlowo-przemysłowego w Warszawie, z kapitałem 2,590,000 rb. Założycielami są pp.: M. Borman, E. Dobiecki, S. hr. Jezierski, F. Jankowski, K. Komierowski, H. Marconi, generał Starynkiewicz, A. br. Toll, Z. hr. Wielopolski (młodszy), Ad. hr. Zamojski i pułkownik Zerebow. Ze składu założycieli widzimy, iż połączyły się tutaj sfery kupieckie, przemysłowe i ziemiańskie, sam zaś fakt powstania nowego banku dowodzi, iż wszystkie istniejące u nas instytucye kredytowe, pomimo względnie znacznej liczby, nie odpowiadają wcale istotnym potrzebom kraju. Życie ekonomiczne ciągle się rozwija, powstają nowe formy i źródła wytwórczości, tymczasem działalność banków zamknięta jest w ścisłych granicach, których nie wolno im przekraczać, przytem kredyt obstawiony jest takimi warunkami, opleciony taką siecią formalistyki, że dla większości ludzi pracujących samodzielnie jest całkiem niedostępny. Właściciele ziemscy mają własne Towarzystwo kredytowe, mogą korzystać z kredytu Banku państwa w pewnej mierze, pośrednio zaś przychodzi im z pomocą Bank włościański w formie tranzakcyj parcelacyjnych. Wszystko to jednak nie wystarcza dla nich, więc muszą wraz z innymi tworzyć sobie nowe źródła. Ustawa Banku handlowo-przemysłowego między innemi operacyami pozwala na dyskontowanie sola-weksli, zabezpieczonych kaucyą hypoteczną na nieruchomościach wiejskich tudzież na reeskontowanie tych weksli w Banku państwa. Tym sposobem rolnicy będą mieli możność zdobycia kapitału obrotowego, którego miał im udzielać Bank państwa po reformie, ale skutkiem zawiłej i uciążliwej formalistyki, nie zdołał rozwinąć tych operacyj.

Wadliwość tego systemu jasno oceniły sfery właściwe i skutkiem tego zamierzyły nawet tę postać kredytu powierzyć instytucyom prywatnym, Bankowi państwa zaś pozostawić obowiązek zasilania tych instytucyj za pomocą reeskontowania w nim sola-weksli ziemiańskich. Otóż tego rodzaju operacye może obecnie objąć Bank handlowo-przemysłowy. Tym sposobem będzie on mógł dawać pożyczki na takich warunkach, jakie ustawa określa dla Banku państwa, tj. na zastaw produktów rolnych, szczególnie zaś zboża, natychmiast po zbiorach, tj. wtedy, gdy rynki są przepełnione ziarnem, skutkiem czego znacznie spadają ceny. Jest to więc chwila najniekorzystniejsza dla ziemian, którą pomyślnie przebyć można tylko za pomocą kredytu w formie powyższej.

Nie znamy bliżej ustawy nowej instytucyi kredytowej; wnosić jednak możemy, że zadaniem jej będzie możliwe wypełnienie tych braków, jakich nie wypełniły dotąd wszystkie istniejące u nas banki; że te braki są dotkliwe i wielkie, świadczy udział sfer przemysłowych i handlowych w stworzeniu nowej instytucyi, pomimo

---

Jan Reibrach.

W przeddzień zgonu.

Anna Meral otworzyła oczy. Miękkie światło lampki oblewało przedmioty, ale w pierwszej chwili wszystko spłynęło się jej w niewyraźną całość. Potem najbliższe sprzęty, baldachim łóżka, firanki u okien, obraz, wiszący na przeciwnej ścianie, zarysowały się uchwytniej przed jej wzrokiem. Równocześnie przytomność wstępowała zwolna w ciało chore, a tak lekkie, że go nie czuła i że zdawało się jej, iż unosi się, jak opar, nad łożem boleści.

W tej samej chwili przypomniała sobie jakby sen, z którego dopiero co obudziła się. Był on wyrazisty i nad wyraz jasny, jak płomień, który świeci ze zdwojonym blaskiem w chwili, gdy ma zgasnąć. To życie jej, życie tancerki oklaskiwanej, unoszonej na fali powodzenia ku rozgłośnej sławie, przemknęło przed nią. Dziesięć lat zwarło się w krótkiem widzeniu, błysło jak promień w zwierciadle; dziesięć lat świetnych, jak perły jej naszyjników, iskrzących się, jak dyamenty jej strojów, dźwięcznych, jak złote monety, gdy uderzą o siebie.

I wydało się jej, że jak owe dyamenty, perły i złoto odpłynęły od niej wzburzonym strumieniem, tak, że ledwie cząstka ich została, tak i życie odbiegło ją niby spieniony ruczaj i tylko parę kropli wody sączy się w jego łożysku.

Jednak jakieś zadowolenie napełniało jej myśli niezupełnie jeszcze jasne. Czuła się dobrze, nie doznawała bólu. Nie śmiała ruszyć się w obawie rozwiania jakiegoś dobroczynnego czaru, w obawie poczucia znowu w piersi ognia i pragnienia. Powolny jej oddech stawał się bojaźliwy, nieśmiały, jak ptaszek, co próbuje skrzydeł. Atoli uczucie zadowolenia wzrastało. Myśl o odzyskaniu zdrowia zapaliła się, jak światełko kagańca, pod jej czaszką; światło to zaczęło się zwiększać, aż napełniło ją całą promieniami. Uśmiech spłynął na jej wybladłe usta. Życie wróciło. Widzenie tryumfów i sławy, przybiegłszy z głębi przeszłości, spieszyło obecnie ku przyszłości, kędy otwierały się zamknięte widnokręgi. I jakby panorama jakiejś ziemi obiecanej słały się przed nią wszystkie rozkosze, miłość, piękno, szczęście. Odnajdowała je, dościgała ich, czuła już oszołomienie i chęć śmiechu, przenikał ją tylko żal, że ich przez tak długi czas choroby brakło. Lecz i choroba wydała się jej tylko przebytą bolesną zmorą, która pierzchała, jak widma nocne pierzchają przed światłem zorzy rannej. Wizye, które ją otaczały, przemieniły się na rzeczywistość, na pewność.

Kąpała się, jak do niedawna w potach gorączki, w rozkoszy coraz głębszej, pełna bezbrzeżnego zachwytu, gotowa wstać z okrzykami radości, niecierpliwa o te jutra, co rozchylały się tak rozkosznie. I w rosnącem szczęściu, w unoszącej ją ekstazie żyła chwilami, mającemi przyjść, układała projekty, robiła plany, wznosząc przecudną budowę nowego istnienia.

* *

Ogarnęła ją potrzeba mówienia. Właśnie jakiś szelest musnął jej uszy i wśliznął się między rącze fale jej myśli. Obróciła oczy, przypomniała sobie swą pokojową. Rozczulenie owładnęło nią w tej radosnej chwili, czuła wdzięczność dla tej dziewczyny za jej troskliwość i pielęgnowanie. Przypomniała sobie, ile to razy widziała ją w męczarniach gorączki pochyloną nad jej łożem, ile to nocy spędziła ona przy niej milcząca i czujna, a cierpliwa jak siostra.

Lecz gdy miała otworzyć usta, osłupienie unieruchomiło ją. Dziewczyna ześrodkowała swą uwagę nad dziwną robotą... An-

że mają one w bankach wogóle szersze przywileje i łatwiejszy dostęp, niż ziemianie.

Chcemy przy tej sposobności zaznaczyć jedno bardzo nienormalne i dotkliwe dla społeczeństwa zjawisko: Oto z kredytu wogóle właściwie mogą u nas korzystać tylko ludzie *zamożni*. Dla niezamożnych zaś pozostaje kredyt prywatny, czyli lichwa, która dotąd istnieje, pomimo surowości prawa. Sprzyja jej brak jakiejkolwiek organizacyi, która przyszłaby z pomocą tej olbrzymiej, największej rzeszy ludzi. Jak zaś taki stan rzeczy oddziaływa na stosunki społeczne i wogóle warunki istnienia tudzież rozwoju społeczeństwa, postaramy się scharakteryzować to, chociaż pobieżnie. Narzekaliśmy i narzekamy na brak zamiłowania i dążności u nas do pracy samodzielnej, niezależnej. Zjawisko to było powszechne w okresie szkolnictwa prawie wyłącznie klasycznego. Zdawało się, że wykształcenie fachowe, do którego tak gorąco nawoływano naszą młodzież i które dziś już coraz bardziej się rozwija — zapewni znacznej liczbie specyalistów stanowiska niezależne, pracę samodzielną. Tymczasem zarówno wychowańcy szkół klasycznych jak i wszelkiego rodzaju fachowcy dążą tylko w jednym kierunku: do posad. Wszyscy poszukują na gwałt pracy biurowej, kancelaryjnej, każdy chce być urzędnikiem lub oficyalistą. Ludzie z wyższem i średniem wykształceniem, z lepszemi nawet aspiracyami duchowemi, poddają się z rezygnacyą zależności kancelaryjnej fantazyom i brutalności pryncypałów, częstokroć nie posiadających nietylko wykształcenia lecz i ogłady towarzyskiej, których na wyższe stanowiska wydźwignęły mocne i szerokie plecy protektorów. Oto źródło, w którem toną: samodzielność, energia i mocne charaktery społeczeństwa. Wytwarza się masowa zależność i niezaradność.

Szukając przyczyn takiego stanu rzeczy, znajdujemy między innemi jedną bardzo ważną: Ludzie posiadający energię, wykształcenie zawodowe i dobre chęci, w bardzo wielu wypadkach nie mogą się wziąć do pracy samodzielnej z braku środków materyalnych. Żadna instytucya kredytowa nie udzieli im pożyczki, bo nie mają rękojmi materyalnej: nie posiadają nieruchomości. Bez tego przywileju własności nie mogą oni być dłużnikami banków. Wprawdzie są pewne kombinacye poręczycielstwa i pośrednictwa, ale to naraża dobrą sławę materyalną protektorów. Zresztą i takich, którzyby chcieli poręczać za ludzi nieposiadających jakiejkolwiek nieruchomości, można na palcach zliczyć, jako wyjątkowo uczynnych i... odważnych. Tymczasem różne pola pracy leżą odłogiem, kraj ubożeje, powstają przesilenia ekonomiczne, mnoży się liczba jednostek nieprodukcyjnych, gdy jednocześnie przepełniają się wszelkie placówki pracy jałowej, nietylko nie posuwającej rozwoju społeczeństwa naprzód, lecz przeciwnie, utrudniającej wszelkie jego kroki. Wytworzyła się charakterystyczna postać pracy bezpłatnej, której wyzyskiwanie zasługiwałoby na najsurowszą karę w drodze prawodawczej. Praca taka praktykuje się w różnych poważnych i bardzo zasobnych instytucyach, które trzymają po roku i dłużej ludzi zdolnych, wykształconych, nie płacąc im ani grosza za pracę uciążliwą i pożyteczną, pod pozorem wypróbowywania ich sił. Wielu zniechęconych lub zgnębionych nędzą, porzuca tę pracę, wielu usuwają same instytucye, ażeby przyjąć nowych pracowników bezpłatnych, wreszcie pewien procent otrzymuje „awans“: pensyę, dorównywającą płacy stróża.

Ażeby taki stan rzeczy chociaż w części złagodzić, należałoby pomyśleć o jakiejś organizacyi kredytu dla pracy. Za granicą tu i owdzie istnieją instytucye kredytowe, przystępne nietylko dla kapitalistów i przedstawicieli własności, lecz również dla licznych rzesz, których całą rękojmią jest rzetelność i zdolność do pracy, np. banki szkockie, jako organizacye kredytowe z charakterem ogólnym, które załatwiają wszystkie czynności bankierskie, z wyjątkiem spekulacyi. Udzielają pożyczek hypotecznie i na zastaw papierów publicznych. Przeważnie zaś zajmują się dyskontowaniem nietylko weksli handlowych, ale i rolniczych, dzięki czemu Szkocya bez specyalnej instytucyi posiada prawdziwy kredyt rolniczy. Nie na tem wszakże koniec. Dzięki systemowi t. zw. *Cash credit account*, mogą korzystać z pomocy tej instytucyi szerokie koła pracowników na różnych polach. Bank taki daje pożyczki i otwiera natychmiast rachunek bieżący każdemu, kto tylko w dostatecznej mierze wykaże stopień swojej wypłacalności moralnej i materyalnej. Jeżeli wypłacalność kandydata jest wątpliwą, powinien dostarczyć poręczenie jednej lub więcej osób, przez bank przyjętych. W ten sposób młodzieńcy bez majątku po wyjściu ze szkół często otrzymują pożyczki za poręczeniem osób, pokładających zaufanie w ich przyszłości.

Otóż taka lub podobna organizacya bardzo nam jest potrzebna. Czy nie zechciałby w tej mierze rozszerzyć swych operacyj Bank handlowo-przemysłowy?

KRONIKA POZNAŃSKA.

Nowe alarmy. — Zatrważająca statystyka. — Pisma niemieckie, gaszące pożar obaw. — Skargi organu hakatystów. — Zaburzenie w Śremie. — Zjazd katolików w Nysie. — Zjazd śpiewaków polskich w Poznaniu.

Olbrzymi potwór słowiański sunie się ze Wschodu na Zachód. Otworzył swoją paszczę straszną i chce pożreć wszystkich Niemców! Biada! Ratunku!“ Takie okrzyki rzucają w tłumy alarmiści hakatyzmu. Udają wystraszonych i sieją trwogę rzeczywistą w masach, po to, ażeby w nich utrzymać gotowość do walki z najmizerniejszym, najsłabszym i chociażby nawet najciemniejszym robotnikiem polskim. Do mnóstwa tego rodzaju straszydeł przybyła świeżo broszura

---

na Meral wytężyła wzrok, przebiła nim półcień—ach, więc to nie było złudzeniem!.. Wszak pokojowa krzątała się około sprzętu, w którym Anna mieściła swe pieniądze i rzeczy drogocenne. Więc wyważyła zamek? Dobyła banknoty, a na wierzchu stoliczka już tryskały blaski z wyjętych klejnotów.

Okradano ją!

Chora leżała bez ruchu. Jej gniew z powodu kradzieży zmniejszył się pod wpływem podziwu dla tak wielkiego zuchwalstwa. Ależ ta dziewczyna była u niej od trzech lat i wiedziała doskonale, że jej pani posiada o niej najdokładniejsze wiadomości, że wobec tego Anna może ją każdej chwili kazać zatrzymać i oddać do sądu, jeśliby popełniła względem niej przestępstwo i zbiegła. Jak więc mogła posuwać się do tak wielkiej nieroztropności?

Szczególna trwoga zrodziła się w niej. Jej serce, przed chwilą lekkie, otwarte szeroko, jak gdyby chciało ogarnąć całe życie, ścisnęło się. Zimno otoczyło je i zwiało. Nieokreślony, niejasny jeszcze dla niej przestrach zawisł nad nią. I naraz ów przestrach wszedł w jej umysł, w jej ciało. Jeśli ta dziewczyna okradała ją tak bezczelnie, tak cynicznie, to czy nie dlatego, że była pewną, iż ujdzie kary? Ale w takim razie, skoro nie bała się wydania przez swą panię?..

Czuła, że sinieje, że zęby jej dzwonią. Więc lekarz wczoraj jeszcze...

Nie chciała dokończyć zdania; nie chciała wyrzec: skłamał. Broniła się od napaści tego wyrazu, odpierała go wszystkiemi siłami ducha. Nie chciała dopuścić do siebie myśli, iż jest skazaną, że ma umrzeć. Nie chciała umrzeć, zwłaszcza teraz, kiedy przed chwilą odnalazła życie, odnalazła jego wdzięk! Ta dziewczyna zwaryowała. Przecie nie mogła uważać swojej pani za już nieżywą! Nieżywą, o nie! Niech bierze wszystko, niech zabiera klejnoty i pieniądze! Wszystko, ale precz ze zgrozą tej myśli, iż ona działa w jej obecności z tą samą obojętnością, co w obecności trupa.

Lecz poprawiła się: to nie ta dziewczyna była szalona, ale ona sama, skoro okrążały ją podobne myśli. Codzień zdarzało się, że okradano chorych! Służąca ją okradała, więc co? Sądziła, że śpi — i na tem koniec. Gdy skończy, gdy schowa pieniądze — zrobiła to właśnie — gdy zabierze pierścienie i naramienniki — teraz kryła je do kieszeni — pójdzie, ucieknie, jak złodziejka: oto wszystko, tak, oto wszystko! A ona doniesie o tem jutro policyi.

Pokojowa skończyła swą pracę, zasunęła szufladę; sprzęt z różanego drzewa ogarnął znowu sen, sen okalający wszystko około niej. Ale nie wychodziła, nie wykradała się chyłkiem, jak zadowolona złodziejka. Została: co więcej, usiadła, z tą samą ostrożnością osoby pielęgnującej chorą, przy kominie, jakby nic nie przerwało jej zwykłych zajęć.

Anna Meral czuła jednak, że służąca spojrzy na nią. Jakiś niepokój ogarnął ją na tę myśl. Istotnie, dziewczyna skierowała ku niej wejrzenie. Nowa obawa zdjęła chorą, obawa, aby winowajczyni, odkrywszy, że jej pani mogła ją widzieć, nie wpadła na myśl zgładzenia jej. Bardzo szybko zamknęła oczy i wyprostowała się; a jednak czuła, jak wzrok pokojowej cięży na jej przywartych powiekach.

Wielkie milczenie zapanowało w izbie. Służąca odwróciła się znów ku kominkowi. Profil jej zacierał się w półcieniu, potem schyliła głowę i zasnęła. A tymczasem Anna Meral, czując po ostatniem przebudzeniu nadziei, tak zwykłem u suchotników, coraz pewniejszą nieodwołalność wyroku śmierci, ciążącego na niej, gasła w strasznej trwodze, że może być zamordowaną, nie śmiejąc nawet w duszy protestować.

---

niejakiego Artura Dixa o wędrówkach ludności, w której autor zaznacza wzrost liczebny Polaków i na tej podstawie kreśli straszny obraz niebezpieczeństwa, ponure tło fatalnego położenia Niemców, którzy poprostu nie mają już wyjścia! Według autora, r. 1861 w Królestwie Pruskiem liczono 2,214,888 Polaków („ludzi mówiących po polsku"). W zachodnich okręgach państwa prawie wcale ich nie było. W ciągu 30 lat stosunki znacznie się zmieniły. W r. 1890 na 29,955,281 mieszkańców Prus mówiło po polsku (oraz po mazursku i kaszubsku) 2,811, 544. W tym samym czasie mieszkało Polaków: w Saksonii około 75,000, Westfalii 50,000, prowincyi nadreńskiej 30,000 i w Berlinie podobno tylko 12,800.

Autorowi wszakże głównie chodzi nie o wzrost liczebny Polaków, lecz o ich wędrówki. W grudniu r. 1897 w nadreńsko-westfalskim okręgu przemysłowym (z wyjątkiem powiatu Esseńskiego) liczono 97,000 Polaków, czyli przeszło 10% całej ludności. W powiatach Gelsenkircheńskim i Recklingshauseńskim Polacy stanowili 20% ogółu ludności. Liczba ta w ostatnich czasach wzrosła i wzrasta coraz bardziej, tak dalece, że w prowincyach niemieckich potworzyły się wyłącznie kolonie polskie i już dziś Polacy nawet zamierzają postawić swego kandydata w wyborach do parlamentu, chcą mieć swoich duchowych, wreszcie pozakładali różne towarzystwa własne. Wszystko to oczywiście grozi Niemcom zagładą: niebezpieczeństwo zaś potęgują jeszcze bardziej wędrowni robotnicy polscy, którzy latem zalewają prowincye zachodnie i południowe, zniżają zarobki Niemcom i polonizują prowincye niemieckie!

W takim duchu jest napisana broszura p. Dixa. Oczywiście wywołała ona skutek z góry zapewne przewidziany przez autora: Niemal wszystkie pisma niemieckie, szczególnie zaś w duchu hakatystycznym redagowane, zalały mnóstwo szpalt treścią broszury, podsyconą uwagami i okrzykami własnemi. Ponieważ niema dziś Niemca, któryby gazet nie czytał, więc za ich pośrednictwem zaalarmowano miliony. Specyalnie do tego służy jeszcze osobny rodzaj prasy, że tak powiemy, robiony fabrycznie, na prędce. Są to gazetki, wytwarzane w fabryce berlinskiej, bez tytułów i z czystą ostatnią stronicą. Z głównego miejsca produkcyi gazety to rozpływają się po miastach i miasteczkach prowincyi niemieckich i tam, na miejscu handlu detalicznego, są drukowane tytuły stosowne, a na ostatniej stronicy drobne wiadomości miejscowe, rozporządzenia i ogłoszenia władzy. Oczywiście pisma takie muszą być abonowane i czytane przez masy. Tak więc fabrycznie wyrabia się opinia publiczna: W setkach miast i miasteczek niemieckich wychodzą niby własne, miejscowe organy, z celowo napisanymi i wydrukowanymi artykułami... w Berlinie. Z wyjątkiem ostatniej stronicy, gazety owe, pomimo odmiennych tytułów, mają jednakową treść główną. Noszą one charakterystyczną nazwę „pism bez głowy." Otóż za pośrednictwem tych gazet roboty fabrycznej rozeszły się także alarmy p. Dixa. Inteligencya niemiecka naturalnie śmieje się w duchu z tych obaw. Ale w warstwach nawpół-oświeconych wywierają one swój skutek. Różni majstrowie, dozorcy itd., naczytawszy się takich strasznych rzeczy, nastrajają się odpowiednio względem Polaków i prześladują ich na każdym kroku. Nikt zaś tak dalece dokuczyć nie może jak bezpośredni zwierzchnik mas pracujących i gospodarz robót. To też lada postrach, lada alarm, rzucony przez jakiegoś pismaka i roztrąbiony w setkach tysięcy egzemplarzy różnych pism i pismideł, sprowadza silniejsze prześladowanie polskich mas pracujących w różnych zakładach i przedsiębiorstwach niemieckich.

Postrachy hakatystów mają jednak i odwrotną stronę, bardzo niemiłą dla Niemców rozsądniejszych. To też ujawniają oni swoje oburzenie na tego rodzaju politykę. Między innemi organ katolicki wychodzący we Wrocławiu, *Schles. Volkszeitung*, szyderstwem obrzuca hakatystów i ich politykę alarmistyczną. Czyż to nie jest hańbą i upokorzeniem dla Niemców — woła on — ażeby się tak przyznawać do swego niedołęztwa?! Czyż podobna, ażeby pięćdziesiąt milionów ludności niemieckiej nie mogło się oprzeć trzem milionom Polaków? Gdyby tak było istotnie, świadczyłoby to o takiem zwyrodnieniu i słabości żywiołu germańskiego, że tylko należałoby chyba czekać jego zupełnej zagłady. Ażeby tak smutnej przyszłości uniknąć, *Slesische Volkszeitung* złośliwie zapytuje hakatystów, czy nie zażądają oni czasem nowej ustawy wyjątkowej, któraby zabroniła Polakom naturalnego mnożenia się? „Każdy dobrze myślący Niemiec — pisze powyższy organ — musi się oburzyć na to, że hakatyści wyrabiają naszemu narodowi i naszej kulturze opinię żywiołu słabego, niezdolnego do obrony i życia, że uderzają na tak straszną trwogę przed kilku milionami Polaków lub nawet kilku tysiącami Duńczyków i głoszą wobec całego świata, że germanizm nie może istnieć bez zastosowania możliwie najsurowszych zarządzeń i represalij."

Inne pisma również wyraziły swoje oburzenie na takie psucie opinii Niemcom i ich państwu wobec świata cywilizowanego. Co jest charakterystyczne w tej kampanii, że nawet wroga dla Polaków *Posener Zeitung* zajęła stanowisko niezgodne w tej mierze z dążnościami i polityką hakatystów. Twierdzi ona mianowicie, że wędrówki ludności polskiej nie wynikają z przyczyn rasowo politycznych, lecz jedynie ekonomicznych: nie należy więc tak dalece się bać tych ruchów. Trzeźwienie to i uspakajanie ma wszakże nie większy wpływ, niż w kościele lub teatrze uspakajanie tłumów, zdjętych ślepą trwogą na okrzyk: „gore!" Co do alarmowania hakatystów, uspokojenie tem trudniejsze, że trwoga sztucznie wytworzona jest jeszcze silnie podsycana nienawiścią rasową. Podniecona opinia publiczna śledzi najdrobniejsze fakty i podaje ogółowi w olbrzymich rozmiarach. Tak np. przy pomocy pism opinia publiczna bardzo się zaniepokoiła faktem, że w krótkim przeciągu czasu cztery duże gospodarstwa włościańskie w pow. Śremskim przeszły na własność Polaków. Biada! Wkrótce dojdzie do tego, że w pow. Śremskim posiadłość ziemska będzie całkowicie w rękach Polaków! — wołają Niemcy zatrwożeni. „Nietylko gospodarstwa w pobliżu Śremu — pisze *Tageblat* — przechodzą z rąk niemieckich w polskie, ale nawet w samem mieście Polacy wykupili z rąk niemieckich w ostatnich czasach przeszło 30 posiadłości różnych rozmiarów. Wobec warunków dzisiejszych niepodobna się spodziewać, ażeby Niemcy mogli kupować posiadłości od Polaków." Nieboracy, nawet muszą zaspakajać swoje potrzeby w sklepach polskich!

Jeszcze straszniejsze rzeczy opowiada organ hakatystów, *Die Ostmarck*. Skarży się on, iż kupcy niemieccy w miastach rdzennie niemieckich muszą szukać pomocników, mówiących po polsku! Towarzystwo „Nordd. Hagelversicherungsgesellschaft" członkom swoim posyła rachunki w języku polskim! Za taki brak „poczucia narodowego" organ hakatystów piętnuje tę firmę.

Cytowane powyżej pismo podało niedawno sprawozdanie z działalności Towarzystwa H. K. T. W rubryce wymienionych zapomóg dla różnych przedsiębiorców i szwindlarzy niemieckich charakterystycznie się zarysowywa współdziałanie „prywatne" członków. Jeden z nich postanowił na własną rękę wykupywać od Polaków ziemię i osadzać na niej chłopów i robotników niemieckich. Na operacyi tej robił niezłe interesy „prywatne." Towarzystwo, chcąc go zagrzać bardziej do tej roboty, dało mu nagrodę w wysokości 500 marek, a nadto postarało się o pożyczkę prywatną dla niego w sumie 5,300 marek. Jakiś urzędnik na cele „osobiste" otrzymał 500 marek. Oto są środki, jakimi się przychodzi do żarliwego patryotyzmu! Pod jego hasłem, jak już nieraz wskazywaliśmy, dzielni obywatele państwa niemieckiego robią wybornie interesy i nawet umieją wyłudzać pieniądze od rządu do własnej kieszeni. Całe więc Towarzystwo H. K. T. w gruncie rzeczy jest dobrze zorganizowanym szwindlem aferzystów. Nie dla wszystkich jednak przedsiębiorców jest ono równie korzystnem. Przeciwnie — dla niektórych jest nawet nie na rękę, gdyż patryotyzm niemiecki sztucznie rozbudzony, psuje im wyborne interesy, które można byłoby robić na Polakach. Tak np. jakiś winiarz z prowincyi rdzennie niemieckiej, którego zachęcano, ażeby wstąpił w poczet członków towarzystwa hakatystów, odparł drwiąco: „Dla mnie byłoby nierównie korzystniej, gdyby odbudowano Polskę. Wtedy bowiem mógł bym sprzedawać znacznie więcej wina szlachcie polskiej." Ten dowcip, który jednak mieści w sobie głęboki sens moralny, że polityka nie zawsze idzie w parze z interesami ekonomicznymi — wywołał ogromne oburzenie organu hakatystów i zmusił go do napiętnowania „zdrajcy." Czy można się dziwić wobec takich faktów — woła *Ostmarck* — że śród Polaków, Duńczyków i innych „przyjaciół" narodu niemieckiego coraz bardziej ustala się przekonanie, iż „Niemiec za pieniądze gotów jest na wszystko?!"

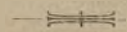
Nidawno zdarzył się wypadek, wymownie ilustrujący misyę cywilizacyjną Niemców. W śremskim zakładzie prowincyonalnym dla ubogich wynikło zaburzenie, którego powodem było złe obchodzenie się z kalekami, liche ich żywienie, wreszcie wyróżnianie i faworyzowanie Niemców protestantów. Jest ich około 70, gdy tymczasem Polaków katolików niespełna 280. Wrzenie zaznaczyło się w ten sposób, że niezadowoleni zaczęli grozić urzędnikom zakładu. Natenczas powołano kapelana urzędowego, ks. Zakrzewskiego, ażeby uspokoił umysły. Czy to perswazya kapłana, czy co innego wpłynęło na zupełne przywrócenie spokoju. Pomimo to jednak nazajutrz wieczorem (21 lipca) wpadli do zakładu policyanci i żandarmi, ażeby aresztować podżegaczów. Wtedy wszyscy stanęli w obronie aresztowanych, na co żandarmi odpowiedzieli pałaszami i poranili ludzi bezbronnych, kalekich. Wszczął się przytem taki straszny tumult, że aż ściągnął mieszkańców okolicznych. Zdawałoby się, iż następstwem tego zajścia powinno być przykładne ukaranie żandarmów za nadużycie władzy. Tymczasem w rzeczywistości stało się co innego. Z awantury tej zrobiono sprawę polityczną, pisma niemieckie zaczęły podniecać opinię ogółu kłamstwami i insynuacyami, twierdząc, że ubodzy podburzyli Polacy przeciwko zarządowi, złożonego wyłącznie z Niemców, że podczas bójki z policyą i żandarmeryą, „motłoch polski" po za murem okrzykami głośnymi i hasłami rewolucyjnemi zagrzewał opornych do walki.

Jest tedy nowe, i to bardzo gorące źródło, podniecające nienawiść rasową. Zaznaczyła się ona również w następującym fakcie: Komitet, urządzający zjazd katolików w Nysie, odrzucił żądanie umieszczenia w programie kilku odczytów polskich. Wywołało to liczne ożywione uwagi zarówno w prasie polskiej, jak i niemieckiej. Pisma górnoszląskie i poznań-

skie starają się ludność polską powstrzymać od udziału w zjeździe i jednocześnie zaznaczają, że przed siedmiu laty w Poznaniu podczas zjazdu katolików komitet, przychylając się do życzeń Niemców, urządził dla nich osobne zebrania, na których obrady odbywały się w języku niemieckim. Z powodu całej tej sprawy *Germania* pieniąca się woła: „Do czego w końcu dojdzie, jeżeli Polacy, stojąc uparcie na swojem stanowisku narodowem, domagać się będą mów i wykładów polskich, zamiast, po za językiem, wysunąć na pierwszy plan święte interesy Kościoła i stanąć w ich obronie!“ Dla czegóż Niemcy nie dają przykładu i zamiast pamiętać o kościele i obronie jego interesów, robią politykę, odrzucają odezwy polskie?!

Przed kilku dniami odbył się w Poznaniu VII walny zjazd Związku prowincyonalnego śpiewaków polskich. Udział w tej uroczystości wzięły prawie wszystkie koła śpiewackie W. Księstwa, nadto koła berlińskie i charlottenburskie. Po pochodzie publicznym do Urbanowa i urządzonych tam popisach kół pojedynczych, rozdano nagrody chórom, uznanym za najlepsze. Pierwszą otrzymali śpiewacy berlińscy, drugą inowrocławscy, trzecią jarocińscy. Nadto, odznaczyły się: gnieźnieńskie, śremskie, ostrowskie i wągrowieckie. Godnym jest uwagi fakt, iż miasto, które z funduszów publicznych przyznaje zapomogi wszystkim zjazdom niemieckim, odmówiło takiego poparcia polskiemu zjazdowi śpiewaków.

el.



LISTY Z PARYŻA.

Paryż, 5 sierpnia.

Krwiożercze popędy wśród tłumów. — Rosnące zamiłowanie do walki z bykami i parę innych szczegółów. — Zaniepokojenie tem umysłów poważnych. — Z literatury: Pamiętnik pani Martellet o Mussecie.

Podczas święcenia uroczystości czternastego lipca zaszedł w jednym z ośrodków górniczych, mieście Roubaix, wypadek, który oburzył powszechnie opinię publiczną. W cyrku, wobec zebranych tysięcy ludzi, dano widowisko walki byka ze lwem. Walka ta nie była długą. Byk, ujrzawszy lwa, rzucił się nań, obalił go i przebił rogami na wylot. Nie boleśniejszego nad konanie króla pustyni. Lew pełzał, broczące we krwi, wzdłuż krat areny i jakby błagał, aby go dobito. Potem położył się na piasku i jął umierać. Czternastotysięczny tłum rozgniewał się na to, rozległo się gwizdanie. Jeden zaś z siedzących w pierwszym rzędzie począł okładać laską twarz dogorywającego zwierzęcia.

Ów objaw masowego okrucieństwa spotkał się z surową naganą światlejszych umysłów.

„Nie widziałem nic nędzniejszego i nic ohydniejszego nad to—donosi Piotr Mille w *le Temps*.

Ludwik Grammont pisze:

„I w dodatku obrano na to piękny dzień! Czternastego lipca, dzień święta narodowego, dzień, w którym obchodzi się zdarzenie, zmieniające oblicze świata, przekształcające umysły... Otóż i słodka iluzya. Można było zastąpić jedne rządy drugimi, usunąć jedną kastę i na jej miejscu postawić drugą, ale człowiek sam w sobie nie uległ przekształceniu. Został, czem zawsze był i czem zawsze będzie, mimo utopistów: najokrutniejszem ze zwierząt.

A wszak podobne zamiłowanie do krwawych zabaw widzi się tylko u narodów dzikich, albo wyradzających się. Nie szafuję słowem: zwyrodnienie, jednak igrzysko w Roubaix mocno mnie zasmuciło. Dotychczas południe miało monopol takich objawów. Dziś spostrzegam je w ziemi północnej, w Roubaix. To znak mocno niepokojący!“

Z podobnymi objawami można było kilkakrotnie spotkać się w ostatnich czasach. Od kilku lat wzmogło się naprzykład niepomiernie w południowo francuskich miastach zamiłowanie do walki z bykami. Dziś Nîmes, Marsylia, Awinion przodują w tym sporcie. Parę osób, które wystąpiły przeciw szerzeniu się hiszpańskiego smaku, południowe pisma zmieszały z błotem. Nic pomogła nawet walka rządu z naganną nowością. Minister i prefekci musieli ustąpić wobec groźby zaburzeń.

Że zaburzenia te nie są czczym postrachem, może poświadczyć wypadek, jaki świeżo zaszedł w Marsylii.

Na czwartą godzinę zapowiedziano tam występy toreadorów Quinita i Algabena. Lecz o czwartej i pół nikogo nie było jeszcze na arenie. Algabeno wzbraniał się wystąpić, póki mu dyrektor nie złoży umówionej sumy pięciu tysięcy franków. Targi trwały tak długo, że nareszcie tłum uniósł się. Stoły i ławki zaczęły spadać na arenę, a gdy powstały z nich dwa stosy, parę zuchów podłożyło pod nie ogień. Wnet uczyniono to i w innych miejscach. Kilku widzów chciało jeszcze otworzyć stajnię z bykami i wpędzić je w pożar.

Żandarmi przeszkodzili im. Dyrektor uciekł, a tłum począł domagać się zwrotu pieniędzy. Na szczęście kasa dostała się do rąk policyi i wypłata mogła nastąpić.

Mer — kończą pisma — zapowiedział, opuszczając arenę, że jutro wyda uchwałę, zabraniającą walki z bykami, i że zamknie obie areny marsylskie.“

Jednak do dziś jeszcze nie spełnił tej groźby.

Należy powiedzieć z Grammontem: nie szafujemy słowem: zwyrodnienie. Ale podobne temu objawy należy traktować poważnie. Są ludzie, co polują na instynkty zwierzęce w innych — tym wypowiedziano walkę. Lecz okoliczność, że ohydne fakty i widowiska znajdują poklask, świadczy o ukrytym jakimś pociągu mas. Więc też z przyczynami głębszemi należy wojować i prowadzić pracę nad podniesieniem moralnem. A mylilibyśmy się, sądząc, że masy są na Zachodzie wysoce rozwinięte pod względem etycznym.

Parę lat temu (12 sierpnia 1896) Henryk Maret piętnował z oburzeniem w „Radicalu“ mieszkańców Montaubanu, którzy wystosowali do Faure'a petycyę, aby ścięcie, mające odbyć się gdzieindziej, pozwolił przenieść do ich miasta, „bo już dawno egzekucyi nie widzieli.“ Przed kilkoma miesiącami czytałem w *Aurore* o innym fakcie, dość analogicznym.

Jakiś dowcipniś, złowiwszy pół tuzina myszy w pułapkę, rozłożył na jednym z podmiejskich placów ogień i począł je piec. Tłum zbiera się, patrzy na męczarnie zwierząt i zamiast słów potępienia, wypowiada dowcipy.

Albo też w Awinionie. Właściciel menażeryi donosi afiszami, że jutro odbędzie się w jego cyrku ukaranie śmiercią niedźwiedzia. Nazajutrz tłum tak napływa, że w chwili otwarcia przedstawienia cena biletów podnosi się w dwójnasób.

Atoli wobec podobnych zajść dają słyszeć się zawsze śmiałe i potępiające głosy z prasy. Przeciwdziałanie więc istnieje i jemu to potrzeba przypisać, że gdy na początku tego roku znalazło się kilku chętnych do wprowadzenia we Francyi walki kogutów, przedsięwzięcie ich spełzło na niczem.

Opuśćmy te przykre sprawy i przejdźmy do dziedziny promienniejszej. Niedawno wyszedł w Paryżu ciekawy pamiętnik. Osiemdziesięcioletnia staruszka, pani Martellet, która służyła u Alfreda Musseta w ciągu ostatnich dziesięciu lat jego życia, ogłosiła swe wspomnienia z owego czasu. Obfitują one zwłaszcza w szczegóły z codziennego bytu wielkiego poety.

Jedna z pierwszych stron ukazuje nam Musseta, obliczającego wydatki. Nie brak temu epizodowi humorystycznego odcienia.

„Nie mogliśmy się porozumieć w pierwszych czasach mojej służby — opowiada staruszka — z panem Mussetem co do wydatków. Dawał mi od czasu do czasu pięć franków, a kiedy przy końcu tygodnia przedstawiałam mu rachunek, dziwił się, że tyle wychodzi. Odpowiedziałam, że nie mogę obyć się sumą mniejszą, jak siedem franków dziennie, a i to z warunkiem, że sama będę oznaczać potrawy.

Musset zgodził się, lecz po chwili dodał:

— A cóż będzie, jeśli zechcę zaprosić kogoś z przyjaciół na obiad?

— W takim razie będzie potrzebna dopłata jednego franka od osoby.

Pan Musset rozwiązał sprawę lepiej. Ilekroć przychodził z zaproszonym przyjacielem, wołał mię i wręczał mi dziesięciofrankówkę.“

Oprócz przyjaciół odwiedzały go i panie. O jednej z nich, słynnej autorce Racheli, podaje pani Martellet następującą anegdotę:

„Pewnego dnia panna Rachel zaprosiła poetę na obiad do swego pałacu. Pokój stołowy znajdował się na pierwszem piętrze. Lecz schody, wiodące doń, były wązkie i niezupełnie odpowiadały okazałości domu.

Alfred de Musset, który podał słynnej artystce ramię, idąc do obiadu, nastąpił na jej suknię. Rachel nie mogła poskromić odruchu niecierpliwości, na co Musset odparł:

— Proszę pani, kiedy ma się piękny pałac, to nie buduje się w nim schodów podobnych do drabiny w młynie. Lepiej mieć o jeden salon mniej, a o jedne schody więcej.

Pani Martellet była obecną przy ostatnich chwilach poety. Halucynacye nękały go. Akademia medyczna przysłała mu najznakomitszych swych lekarzy, lecz żaden nie mógł mu pomódz. Unosił się po ich wyjściu, ale mówił smutny:

— Nie mogą ani zmniejszyć mego serca, które jest za duże, ani zwiększyć miejsca, które ono zajmuje.

W przeddzień śmierci poeta zaczął tracić przytomność.

— Adelo — zapytał swej służącej — czy ja jestem u siebie w domu? Czy nie znajduję się w zakładzie zdrowia?

Adela odrzekła:

— W domu, we własnym domu i we własnym pokoju. Oto pański pies, pański kot.

— Ach, prawda. To mnie coś się śniło. Jaki ja nieszczęśliwy. Chcę spytać jeszcze o jedno: czy ja żonaty?

— Nie. Czemu pan pyta się o to?

— Bo gdybym był żonaty, moja żona, widząc mię chorego, bałaby się. Oddałaby mię do zakładu jakiegoś lekarza, gdzie oszalałbym. Ja tak boję się domów zdrowia. Powiedz mi, że ty mnie nie odstąpisz.

— Nie, nie odstąpię pana. Nie mogłabym tego zrobić.

Musset wpadał w długie i bolesne omdlenia. Cały dzień zeszedł smutno. Wieczorem około ósmej brat jego Paweł chciał wyjść. Alfred spostrzegł to i zawołał, aby został. Paweł usiadł na łóżku. Alfred chciał coś mówić, przywołał i mnie, ale tchu mu nie stało. Zemdlał znowu.

Gdy przyszedł do siebie, ogarnęła go senność. Spał długo, co widząc Paweł, udał się około pół do jedenastej na spoczynek. Ja także zasnęłam. Rano o trzeciej budzi mnie moja siostra:

— Wstań, pan ma krótki oddech.

Zerwałam się, lecz gdy przyszłam do łóżka chorego, on już dogasał.

Następnej nocy ktoś zadzwonił około pierwszej. Adela myślała, że ktoś z rodzi-

ny. Wyszła: nieznajomy młodzieniec, zalany łzami, stał u drzwi:

— Czy mógłbym widzieć ciało Alfreda Musseta?

— Nie, to niemożebne, cała rodzina zebrała się obecnie przy nim. Lecz jutro może pan przyjść o którejkolwiek porze.

Młodzian podziękował, a gdy odchodził, służącej przyszło na myśl spytać go o nazwisko. Odparł:

— Hrabia Villiers de l'Isle Adam.

Był to jeden z najcelniejszych pisarzy późniejszej doby. *B.*

OSADNICTWO POLSKIE W BRAZYLII

I JEGO STAN DZISIEJSZY.

(Dokończenie).

Dla żywiołu polskiego nie starczyło już miejsca w okręgu kurytybskim. Nowe nietknięte przestrzenie musiały mu użyczyć gościnności.

Już w r. 1869 Saporski radził osadzać Polaków w okolicy posuniętej na południe od Kurytyby, w ziemi urodzajnej i pięknej, położonej przy rzece Iguassu. Pomysł ten nie został wówczas uwzględniony. Obecnie Saporski przedstawił go znowu rządowi.

W odpowiedzi na to szef oddziału kolonizacyjnego, p. Greenalgh, wysłał go jako komisarza do Rio Negro. Były tam już, jak wiemy, dwie polskie osady. Sam zaś Greenalgh udał się dalej na zachód do Rio dos Patos i San Matheus nad Iguassem. Wyniki oględzin były pomyślne i jeszcze w tymże roku rząd zamianował dwie komisye miernicze, jedną dla doliny Iguassu, drugą dla Rio Negro.

Dolina Iguassu, od Św. Mateusza do Rio Claro, przypadła Saporskiemu, który też urzędował tu od r. 1891 do końca października 1892 jako naczelnik komisyi i swem szlachetnem postępowaniem, ofiarnością i pełną poświęcenia pracą zyskał wdzięczną pamięć u swych rodaków i powszechne uznanie. W latach 1889—92 założono w owym pasie następujące ważne kolonie: S. Barbara i Cantaga w municypium Palmeira, dalej Rio des Patos, Aqua Branca, Maria Angusta, Barcafeia i Rio Claro w municypium S. João do Triumpho.

Prawie wszyscy mieszkańcy tych kolonij pochodzą z Królestwa. Było między nimi zaledwie 20% rolników, reszta rekrutowała się z ludności miejskiej, z robotników fabrycznych, rzemieślników i wyrobników. Obszar kolonij wynosi do 37,000 hektarów z 1,700 udziałami i 4,000 dusz.

Jak korzystnie przedstawiają się wszystkie te osady, dowodzą choćby następujące szczegóły:

Parę miasteczek, wypisanych wyżej, istniało już dawniej. Otóż Santa Barbara było to pustkowie, które swemu dawnemu właścicielowi nic nie przynosiło: obecnie osada ta zaopatruje miasto Palmeirę we wszelką żywność i drzewo.

Rio dos Patos, położone na prawym brzegu rzeki tejże nazwy i Iguassu, posiadało w r. 1889 tylko jednego ubogiego karczmarza („wendystę"), który kupował u Brazylian około 3,000 arob (aroba = 15 kilogramów) herbaty *mate*. Dziś Rio dos Patos wywozi 60,000 arob tejże herbaty, żywi dziewięciu wendystów, posiada tartak, ładny kościół, dobry port, własny parowiec na Iguasie i 21 kilometrów drogi dla wozów.

Tak samo San Matheus. W 1889 sprzedano w nim maty 6,000 arob. W roku 1894 wywieziono jej już dwadzieścia razy tyle: 120,000. Miasto staje się pierwszorzędnym punktem handlowym, sześć parowców pływających dziś po Iguassu i wielka liczba łodzi nie mogą zadość uczynić przewozowym jego potrzebom.

W tymże czasie powstała w municypium Rio Negro, sześć mil od miasta tejże nazwy, wielka polska kolonia Lucena, licząca 500 udziałów po dwadzieścia pięć hektarów. W roku 1896 miała ona półtora tysiąca polskiej ludności przybyłej z Królestwa w latach 1890—1892. Dobra droga dla wozów łączy Lucenę z Rio Negrem, oba miasta stanowią jedną parafię, a proboszczem jest Jan Peters, wychodźca galicyjski.

Pomijam inne wsie i miasteczka, jak San Venancio lub Moriano Forres, gdzie Polacy otrzymali pewną ilość działów.

Nadchodzi rok 1895. Około ośmiu tysięcy nowych wychodźców, tym razem z Galicyi, przybywa do Parany. Dzięki zorganizowaniu emigracyi przez polskie Towarzystwo handlowo geograficzne, a przeprowadzonemu z dobrym skutkiem przez Towarzystwo Świętego Rafała, włościanie galicyjscy odbyli podróż pod przewodnictwem światłych przewodników bez najmniejszego wyzysku i zostali osiedleni na roli w możliwie najkrótszym czasie. Napłynęli w pięciu oddziałach, prowadzonych przez ks. A. Iwanowa, Feliksa Krzyżanowskiego, S. Kłobukowskiego, ks. S. Ossowskiego i A. Enzingera. Osiedli przeważnie w dawnych koloniach, znakomicie zwiększające żywioł polski, cząstkę zaś umieszczono w nowej miejscowości nad Iguassem, przezwanej „Olyntho." Przewodnicy zostali także w Paranie, prócz S. Kłobukowskiego.

Takie są dzieje kolonizacyi polskiej w stanie Parańskim. Osadnicy polscy już dziś mogliby mieć znaczny wpływ w nowem swem miejscu zamieszkania, zwłaszcza że całe rolnictwo spoczywa niemal wyłącznie w ich rękach. Według urzędowych danych, posiadali w r. 1896 Polacy parańscy 116.892 hektarów ziemi, tj. cztery piąte gruntów uprawnych w całym stanie, gdyż suma ich ogólna wynosi 146.259 hektarów.

Znamiennym dowodem znaczenia żywiołu polskiego jest wiadomość, którą podaje wychodzące w Kurytybie niemieckie czasopismo *Beobachter* z d. 11 stycznia 1896 r.:

„Jak wielkie znaczenie i wpływ osiąga tu kolonizacya polska, dowodzi najlepiej okoliczność, że do tutejszej szkoły polskiej zapisała się znaczna ilość brazylijskich i niemieckich dzieci, celem uczenia się języka polskiego."

Nareszcie w początku roku 1897 doniosły pisma brazylijskie, że zarząd stanu Parana wstrzymał bezpłatną immigracyę, a zatem i kolonizacyę. Mógł to uczynić tylko dzięki znacznemu wzniesieniu się ludności wskutek napływu polskiego. W 1896 założył najdalej na wschód położoną polską kolonię w okolicy Porto Uniäs da Victoria. Jest to „ostatnia placówka cywilizowanego świata nad brzegami Iguassu," jak mówi Tadeusz Janicki w „Kalendarzu brazylijskim" z r. 1898.

Ale granice stanu parańskiego nie zamknęły naszej emigracyjnej fali. Na południe odeń ciągnie się piękny i żyzny stan Rio Grande do Sul, równający się pod względem obszaru Francyi. Już Antoni Hempel w 1892 liczył Polaków osiadłych tu na 12—13,000. Obecnie stan ów będzie w Paranie głównym ich ośrodkiem. W 1889 powstały w nim nowe kolonie: Ijuby i Guarany, oprócz tego wielka ilość Polaków znajduje się dziś w stolicy, Porto Alegre (gdzie wyszła pierwsza książka brazylijska i wspomniany „Kalendarz"), w mieście Rio Grande, w koloniach Marianna Pimentel, S. Feliciano, Tagnary, S. Marcos, Antonio Prado, Alfredo Chaves, Barão do Triumpho, S. Antonio da Patrulha, S. Laurenço. Na razie żywioł polski jest tu rozrzucony i potrzeba będzie dołożyć nieco starań, aby owe wyspy połączyć z sobą.

Okoliczności same zdają się temu sprzyjać. Trzy inne stany brazylijskie i wreszcie Argentyna ubiegają się obecnie o kolonistów polskich. Lecz nigdzie warunki nie są tak dobre, jak w Rio Grande do Sul.

Wspomnianymi stanami brazylijskimi są: Pernambuco, San Paulo i Santa Catharina. Pierwszy jest wprost nieodpowiedni z powodu zbytnich upałów. Zapraszają tam naszych wychodźców plantatorzy, potrzebujący robotnika, a agenci ich ofiarują obecnie bezpłatne bilety na przejazd z Europy do północnej Brazylii. Podobnie czynią i agenci plantatorów z San Paulo. Klimat jest tu lepszy, lecz za to panuje drożyzna i niektóre przedmioty, jak np mięso, kosztują dwa razy tyle, co w Rio Grande. W portach sroży się żółta febra. Jak donosi „Kalendarz Brazylijski," dziesiątkuje ona naszych robotników w mieście Campinas i okolicy, a jest ich tam kilkanaście tysięcy.

Na roli jest polskim wychodźcom lepiej, utworzyli też kilka kolonij. Między miastami San Paulo i Santos, z których każdo liczy parę tysięcy Polaków, są cztery osady polskie jedna przy drugiej: S. Bernardo, Rio Pequeno, Rio Grande i Capivary. Trzymają się nieźle, Rio Pequeno ma szkołę.

To zbicie się w kupkę jest szczęśliwem zdarzeniem. Piąta kolonia: Pariquara-Assu Iguape leży w pobliżu stanu Parańskiego i ze względu na mieszkańców stanowi z nim jedność.

Trzeci stan: święta Katarzyna. Otóż pominąwszy to, że niektóre jego działy są niezdrowe, nie nadaje się on dla nas z innej jeszcze przyczyny. Skolonizowany jest przeważnie przez Niemców. Przed kilku i kilkunastu laty osiedli tu Polacy w wielu miejscowościach, że wymienię jako najznaczniejsze Rio Vermelho, Massandarubę (200 rodzin polskich), Pinberal, Lagunę, Tabaran, Gran Parę. Lecz zmieszani z Niemcami, Słowakami, Włochami, wszędzie niezbyt liczni, zagrożeni są wynarodowieniem i unikną go tylko przy dodatnim rozwoju rodaków w Paranie i Rio Grande.

Argentyna osadza Polaków przeważnie w okręgu Missiones, przyległym do Parany. Mimo to wszakże należy zwalczać wyjazd do owego państwa, rozpraszanie się bowiem wychodźców szkodliwem jest dla nich pod względem materyalnym i moralnym.

Skoro zaś osiedlanie się we wspomnianych trzech stanach brazylijskich ma wartość dość wątpliwą, to tem mniej można je zalecać, gdzie idzie o inne okolice. Tak np. w Minas Geraes jest także garść Polaków. Dziś więc ziemią, która rokuje im wszelkie korzyści, jest stan Rio Grande do Sul.

Wielka szkoda, że nie znajdujemy się dotąd w posiadaniu dokładnych cyfr co do osadników polskich w Brazylii. W r. 1892 Hempel *) obliczał ich na 65—70,000 (Parana 15,000, Sta Catharina 3,000, Rio Grande 10,000, przybysze z 1890 i 1891—45,000). Dziś możemy ilość tę podnieść co najmniej do 110 lub 120 tysięcy. Ów wzrost i systematyczność osiedlania się dowodzą żywotności ruchu. Jak kępy rozchodniku wychodźcy zalegli wielki kęs południowej Brazylii; przebywszy niewczas i przymrozek, kępy te zaczynają kwitnąć.

---

*) *Polacy w Brazylii.* Lwów 1893, str. 164—165.

W. Bugiel.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Okólnik ministeryalny.

Ostatnie rozruchy studenckie dały powód do zwołania komisyi kuratorów i kierowników wyższych zakładów naukowych, mających obmyśleć środki, któreby w przyszłości zapobiegły podobnym wzburzeniom młodzieży. Obecnie przewodniczący w tej naradzie p. minister oświaty ogłasza wynik jej uchwał. Według p. ministra, najpewniejszą drogą do osiągnięcia tego celu jest nawiązanie ściślejszych stosunków między profesorami a studentami na gruncie naukowym, mianowicie zapomocą zajęć praktycznych, urządzonych na tych kursach i wydziałach, na których dotąd nie istniały. Nadto p. minister zaleca tworzenie „pod stałem i odpowiedzialnem kierownictwem profesorów kółek studenckich, naukowych i literackich,“ w którychby toczyły się rozprawy nad rozmaitymi przedmiotami tego charakteru, a również organizowanie chórów i orkiestr. Za najskuteczniejszy wszakże środek do osiągnięcia łączności między młodzieżą a jej przewodnikami poczytuje p. minister internaty studenckie, na które już wyznaczono 3 miliony rubli. „Co do kursowych lub innych organizacyj studenckich — powiada w końcu okólnik ministeryalny — z wybieranymi przedstawicielami, deputatami lub starostami, to na mocy doświadczenia uważam je nietylko za zbyteczne, ale za szkodzące spokojnemu trybowi życia akademickiego, będącemu niezbędnym warunkiem pomyślnego biegu zajęć naukowych.“

Warszawa i jej komunikacya.

Posiadamy dosyć wymownych dowodów naszego niedołęztwa, ale chyba niewiele równie przekonywających, jak kolej obwodowa. Kto widział miejską kolej berlińską, ten wie, jakie przeszkody musieli tam ludzie pokonywać dla przeprowadzenia po nad domami drogi żelaznej, którą nie zdołali opasać całego miasta, a która mimo to wywołała i podtrzymuje taki ruch, iż natłoczone pociągi odchodzą *co cztery* minuty. Łuk naszej kolei obwodowej odrazu połączył wszystkie dworce; mógł więc również wytworzyć ruch, jeśli nie tak natężony jak w Berlinie, to jednak bardzo duży, a dla akcyonaryuszów i mieszkańców bardzo korzystny. I gdyby wyzyskano tę komunikacyę należycie, niewątpliwie wzdłuż niej powstałyby już ożywione dzielnice, któreby odciągnęły ludność od środka miasta na jego krańce. Tymczasem cóż z tej linii przez tyle lat zrobiono? Zużytkowywano ją dla transportów towarowych, ale przewóz osobowy był taki, że wątpimy, czy dziś są w Warszawie dość odważni, a zwłaszcza cierpliwi ludzie, którzyby z dworca wiedeńskiego przejeżdżali na terespolski tą żółwią koleją. Ale za to jest mnóstwo takich, którzy jej nigdy nie widzieli lub zapomnieli o jej istnieniu.

Olbrzymi wzrost Warszawy wykazał potrzebę zbudowania trzeciego mostu na Wiśle, a zarazem nadania kolei obwodowej tego znaczenia, które ona już oddawna posiadać winna. Kiedy wszakże zakończą się medytacye nad tą sprawą i słowa (niezliczone!) staną się ciałem — nie wiadomo. Naturalnie o takiej energii i szybkości działania, jakie spotykamy za granicą, gdzie w ciągu roku powstają nowe wielkie mosty lub przebijane są ogromne góry — nie należy marzyć. Pójdzie to przedsięwzięcie wolniutkim krokiem, ale pójdzie, bo na nie przeć będzie konieczność potężnie rozrastającego się miasta. Jeżeli place za rogatkami sprzedawane są po kilka rubli za łokieć, jeżeli jeden folwark dwunastowłókowy (Grochów) osiągnął podobno cenę pół miliona rubli, a drugi (Rakowiec) nabyty został przez magistrat za parę milionów, to daje miarę siły rozprężania się Warszawy po za obecne granice. Kolej obwodowa, która po wzniesieniu drugiego mostu będzie mogła okrążyć całe miasto, odegra w tym jego wzroście pierwszorzędną rolę.

Często słyszymy bezmyślnie powtarzany pewnik, że ruch osobowy stanowi stratę każdej kolei, a zyski daje jej tylko towarowy. Niewątpliwie wysoka taryfa, rzadko wysyłane i na przystankach niepowstrzymywane pociągi, wreszcie rozmaite więzy formalistyczne popierają ten pewnik. Jeżeli np. pociąg pocztowy drogi Terespolskiej *nie przyjmuje* pasażerów do stacyj podwarszawskich, chociaż na nich *staje* (o logiko!), to rozumie się uszczupla sobie dochód. Kto wszakże oglądał dzikie sceny walki i obrazy tłoku w wagonach, niemogących pomieścić tylu osób, ile kupiło bilety, ten chyba przyzna, że przewóz zwykłej ilości cieląt w wagonie towarowym musi mniej przynosić, niż przewóz podwójnej ilości ludzi w osobowym. Dotychczas nasze koleje nie umiały wyzyskać ruchu pasażerskiego i są one podobne do młynów, które jednego dnia nadmierny wylew burzy, a drugiego skąpo sączący się strumień nawet kół obracać nie może. Chcąc uregulować przepływ zarówno ludzi, jak wody, trzeba o nim ciągle myśleć— co jest dla naszych zarządów zbyt utrudzającem.

Ofiara zarazy moralnej.

Nad okrytym niesławą dyrektorem galicyjskiej Kasy oszczędności, Fr. Zimą, ulitowała się śmierć i przecięła pasmo jego życia, zanim stanął pod pręgierzem sądowym. Nie ulega wątpliwości, że człowiek ten zdolny był do lepszych czynów i godzien lepszego losu, niż oszustwa bankowe i zgon w więzieniu. Znieprawiły go stosunki miejscowe. Rzec można, że dzięki przyczynom, których tu rozbierać nie możemy, Galicya zatraciła w sobie duszę myślącą i pracującą a wytworzyła duszę grającą na loteryi życia i spekulującą. Źródła bogactwa w tym kraju albo wyschły, albo zamuliły się, a pragnienie dostatku pozostało, więc przeradza się w szalony hazard, który ma zastąpić pracę, a kończy się zawsze katastrofą. Ten szereg nadużyć bankowych, który w ostatnich miesiącach przesunął się na tle spraw galicyjskich, był poprostu przerażającą panoramą. Niepodobna nazwać tego przypadkiem, jest to już głęboko zakorzeniona choroba. Rozmaite stronnictwa przerzucają sobie wzajem kamienie do swych ogrodów, wypierając się łączności z winowajcami; nam się zdaje, że należałyby zakończyć rozprawę na języki zawistnych i wygadanych sąsiadów, a rozpocząć wycinanie polipów i raków moralnych, które toczą zarówno konserwatystów, jak liberałów. Całe społeczeństwo jest chore, szlachta na egoizm i wsteczność, mieszczanie—na krótkowidztwo, lud — na nędzę. Wszyscy wyglądają jak oberwańcy, którzy siedli przy rulecie i ogrywają się na kredkę, a czasem golcy wyciągają zamożniejszym tajemnie z kieszeni portmonetki. To się nazywa rozwojem ekonomicznym. Właśnie Zima, widząc to rzezimieszkostwo, zamiast powstrzymać występne ręce, osłaniał je lub pozwalał im zapuszczać się do publicznego skarbca, nad którym mu straż powierzono. I tak przez słabość ubrakał sobie charakter i padł pod brzemieniem hańby. Czy tylko zostawił innym przestrogę?

O Filharmonię.

Na uwagę naszą co do powinowactwa istoty i zadań Towarzystwa Muzycznego i Filharmonii warszawskiej odpowiada nam szczegółowo w liście jedna z osób, wtajemniczonych w organizacyę i zamiary nowej instytucyi. A więc naprzód Towarzystwo jest *klubem*, którego członkowie opłacają pewną składkę i po za nią do niczego więcej nie są obowiązani i który za tę cenę musi im wyświadczać określoną sumę usług. Stąd też o zebraniu większych kapitałów przy takim ustroju nie może być mowy. Jeżeli zaś sala koncertowa i stała orkiestra są w Warszawie potrzebne, to obie mogą powstać i uzyskać odpowiednie środki tylko po za obrębem zamkniętego klubu muzycznego, gdyż założyciele Filharmonii nie chcieliby wtłaczać swych dużych kapitałów w ciasne jego ramy. Pierwszy ma na celu zadowolenie tylko swych członków, druga — szerszy ogół. Pierwszy jest ciałem nieruchomem, wyłączającem ze swej działalności wszelkie ryzyko, druga — przedsiębiorstwem, które wprawdzie określiło granicę oprocentowania swych pieniędzy do 5%, ale nie wyparło się spekulacyi.

Tyle wyjaśnienia.

Nie przeczymy, że ono wykreśla dość wyraźną różnicę między nieruchomym klubem a ruchliwem przedsięwzięciem muzycznem, nie usuwa jednak obawy o pomyślny byt i rozwój obu instytucyj. Jeżeli Filharmonia wykaże wielką energię, pomysłowość i zabiegliwość, równocześnie w Towarzystwie muzycznem dostrzeżemy oznaki suchot, bo Warszawa dwu nie utrzyma. Zresztą pragniemy się omylić.

Typowi zbrodniarze.

Gdyby potrzeba było jakiś typ zbrodni uznać za najpowszechniejszy w naszym kraju, przypisalibyśmy ten charakter złodziejstwu, połączonemu z terrorem. We wsiach, małych i wielkich miastach istnieją bandy rabusiów, którzy nie kryją się ze swem rzemiosłem, ze swymi czynami i zamiarami, grożąc okrutną zemstą zarówno pokrzywdzonym, jak znającym ich sprawki, za opór lub skargę. Było to już naturalnym rozwojem gospodarki opryszków, że wprowadzili formalną sprzedaż swoich łask i ubezpieczeń przeciwko ich napaściom. Kto chce być od nich zaasekurowany, musi im płacić jednorazowo lub stale pewien określony haracz. Dzieje się to we we wszystkich okolicach. Właśnie uwięziono jedną z takich szajek, operującą na stacyi towarowej kolei Wiedeńskiej. Nakładała ona na przyjeżdżających furmanów bardzo wysokie podatki (dochodzące do 100 rb.), w przeciwnym razie truła konie. Wobec rozpowszechniania się tej formy przestępstwa, uchwycenie jednej bandy równa się wycięciu jednej gałązki polipa z ogromnej jego kolonii, którą zniszczyć należy środkami zasadniczymi i ogólnymi. Wytropienie band nie byłoby trudnem wobec tego, że są one powszechnie znane, należy tylko ochronić przed ich późniejszą zemstą mieszkańców, którzy zechcą ujawnić zbirów lub pomódz w wyłowieniu ich.

Oha, Oha!

W jednej z gazet warszawskich, ktoś znany z tego, że ogromnie lubi „das Wasser predigen und den Wein trinken,“ mówiąc o niedawno ogłoszonym przez K. L. „Katalogu rozumowanym wydawnictw ludowych,“ w którym zganiono książki z dążnością klerykalną, woła: „Wara wam, zdradzieccy krzewiciele oświaty, od ludu! Wara wam od tej świątyni (?), którą świętokradzką ręką zbezczeszczacie! Pomimo pięknych haseł lud pozna się na waszej wilczej naturze i z potężnej, zdrowej piersi swojej zawoła: „Oha! oha! oha!“ Wykrzyk ten przypomina nam kazanie pe-

wnego poczciwego bernardyna, który rzekł w uniesieniu: „Już chrześciaństwo ginęło od Turków, a wtem nasz Sobieski patataj, patataj na koniu pod Wiedeń.“

BADANIA NAUKOWE.

K. Seignobos: *„Dzieje polityczne Europy współczesnej* (1814—1896).“ Warszawa, wydawnictwo *Głosu*, 1899, zeszyty II i III.

Wzmiankowaliśmy o tem wydawnictwie przy wyjściu pierwszego zeszytu: wytknęliśmy wtedy i jego zalety. Dopełnia ono w popularnym wykładzie osschłą zazwyczaj treść wyłącznie faktycznego wykładu dziejów współczesnych. Dwa ostatnie zeszyty obejmują treściwe przedstawienie urządzeń i przeobrażeń prawno-politycznych we Francyi od r. 1871, w Holandyi i Belgii od rewolucyi 1830 do uchwały zapowiadającej rewizyę konstytucyi belgijskiej z r. 1892 i odrzucenia w r. 1893 przez izbę wszystkich konkretnych projektów tej rewizyi, co pociągnęło za sobą rozmaite tranzakcye i kompromisy stronnictw, po dziś dzień jątrzące ludność pracującą, demokratycznie usposobioną. Idą dalej ustawodawcze zmiany w Szwajcaryi, Hiszpanii, Portugalii i Włoszech. O wiele obszerniej i szczegółowiej traktowane są Niemcy od r. 1814: osobne rozdziały mają: cesarstwo austryackie pod rządami absolutnymi do r. 1859 i królestwo pruskie przed Wilhelmem I. Utworzenie cesarstwa niemieckiego, rozpoczęte od reformy armii pruskiej w latach 1859—1862, zaznacza się najpierw fazą przygotowań i agitacyi narodowej od wojny włoskiej, przechodnią formacyą związku Niemiec północnych (1866—67), przekształceniem stronnictw od 1867—70 i nareszcie aktem proklamacyi cesarstwa w Wersalu w styczniu, niesłusznie nazwanym w dziele aktem „koronowania“ króla pruskiego na cesarza (str. 483). Najogólniejszym wyrazem ówczesnych aspiracyj Niemiec zjednoczonych jest — zdaniem autora — dualizm zasadniczy, po dziś dzień nieurównoważony. „Społeczeństwo niemieckie— powiada Seignobos — wydaje się pociąganem, od daty założenia Cesarstwa, w dwóch różnych kierunkach. Jednym jest kierunek monarchiczny, biurokratyczny, wojskowy, który, wychodząc od rządu pruskiego, zmierza do ukształtowania Niemiec na wzór Prus przez przywrócenie w formach normalnych systemu, opartego na prawie nadprzyrodzonem i na władzy kościelnej. Drugi jest to ruch demokratyczny, wychodzący z łona nowej ludności wielkich miast i okręgów przemysłowych, ale który poczyna ogarniać wsie i przenika nawet stronnictwa konserwatywne, przez agitacyę agrarną, antisemicką, chrześciańsko-społeczną. Sprzeczność pomiędzy kierunkiem monarchicznym, kościelnym i wojskowym, uosobionym w Wilhelmie II a ruchem demokratycznym świeckim i przemysłowym, jest tak wyraźna, że ciąży ona nad całem życiem politycznem Niemiec, jako choroba nieokreślona, lecz niezaprzeczalna“ (519). Życzliwie i starannie skreślony został obraz konstytucyjnych prób i usiłowań Austro-Węgier do dyplomu październikowego 1860 r. Do najciekawszych, bo najmniej znanych zdobyczą postępowości i liberalizmu zaliczyć należy reformatorską działalność państw skandynawskich, Szwecyi, Norwegii, Danii, Islandyi — tej ostatniej od r. 1874, kiedy wyspa ta, zależna od Danii i rządzona do tego czasu patryarchalnie, otrzymała konstytucyę, ulepszoną i rozszerzoną w r. 1893. Wyspa posiada samorząd administracyjny i nic przyczynia się już do wydatków monarchii duńskiej; sekretarz stanu dla Islandyi przebywa w Kopenhadze i jest odpowiedzialny za utrzymanie konstytucyi. Sejm składa się z dwu izb: sześciu członków Izby wyższej mianuje król, sześciu zaś wybiera Izba niższa, której członkowie wybierani są głosowaniem powszechnem. Sejm ma prawo skargi na wielkorządcę, przebywającego w Islandyi; spory między władzą ustawodawczą i kontrolującą a władzą wykonawczą rozstrzyga król.

***

Aleksander Mogilnicki: *Sąd przysięgłych* (przedruk z *Ateneum*). Warszawa, księgarnia Fiszera, 1899, str. 98.

W Cesarstwie rosyjskiem sądy przysięgłych wprowadzone zostały w następstwie ogólnej reformy sądowej z końca 1864 r. Przy stosowaniu, w r. 1876, zreformowanych ustaw sądowych do Królestwa Polskiego, nie wprowadzono tu sądów przysięgłych; sprawy podlegające ich kompetencyi oddano do rozpatrzenia sądom okręgowym, złożonym wyłącznie z sędziów koronnych. Obecnie, gdy, jak sądzi autor, „jesteśmy prawdopodobnie w przededniu wprowadzenia u nas— tj. w Królestwie — sądów przysięgłych,“ p. Aleksander Mogilnicki przebiega w swej rozprawce celniejsze tezy ustawoznawcze, jakie się w ostatnich latach wyłoniły przeciw lub w obronie instytucyj przysięgłych. Powołuje się w tym zakresie, z natury przedmiotu i swego założenia, głównie na zdania jurystów rosyjskich, Koniego, Fatiejewa, Łozina-Łozińskiego, Zakrewskiego, Gromnickiego; we wnioskach atoli trzyma się przeważnie prawników polskich i zagranicznych, Miklaszewskiego, Likierta, Spasowicza Sheringa („Der Zweck im Recht,“ 1893), de la Grasserie („L'avenir de jury,“ 1897) itd. Po żywej i nieraz eleganckiej polemice ze zwolennikami sądów wyłącznie koronnych, autor oświadcza się za sądami przysięgłych w sprawach kryminalnych i o wykroczenia policyjne. Powiada, że „sąd przysięgłych, najlepszy ze znanych dotąd sądów kryminalnych — w tej swojej formie, w jakiej istnieje w Cesarstwie rosyjskiem, odpowiada, w zasadzie, wymaganiom teoryi; byłoby jednakże pożądanem wprowadzić doń niektóre zmiany w szczegółach, jak np. dobieranie przysięgłych z pomocą wyborów, zapewnienie im na czas trwania sesyi utrzymania itd. Do tejże kategoryi ulepszeń należy kwestya wprowadzenia kobiety do składu przysięgłych. Autor przytacza w tym punkcie słowa prawnika francuskiego, de la Grasserie: „W pewnych kwestyach — mówi on — niesłusznem jest, żeby kobieta była sądzoną przez mężczyznę, tak samo jak byłoby niesłusznem, gdyby mężczyzna był sądzonym wyłącznie przez kobietę. Weźmy przykład: w razie zemsty dokonanej przez kobietę na osobie mężczyzny, który ją uwiódł, opuścił lub złamał wierność małżeńską, albo też w wypadkach zbrodni dzieciobójstwa, którego odległa przyczyna zawsze kryje się w mężczyźnie — czy w tych sprawach sąd mężczyzn jest sądem równych?...“ P. Mogilnicki zgadza się, że nad projektem tym warto się zastanowić. Myśl wprowadzenia kobiet do sądu przysięgłych w niektórych specyalnych sprawach — pisze — zasługuje na poparcie. Zarzucić jej można to jedynie, że *w naszych* warunkach, kiedy kobieta przyjmuje tak bardzo mały udział w życiu społecznem, kiedy przeważnie ilość naszych kobiet składa się z gospodyń niewidzących nic po za swoim domem i banalnymi stosunkami z podobnemi sobie, z napuszonych sawantek lub tak zwanych panien na wydaniu, kiedy przeciętna kobieta z wyższej klasy pochłonięta jest domem, bezmyślnem życiem towarzyskiem i drobnemi plotczkami, a z niższych klas — gospodarstwem, dziećmi i także drobnemi plotczkami, kiedy kobiety z szerszym poglądem na życie stanowią dość rzadki wyjątek i są przywilejem tylko nielicznych większych centrów życia umysłowego — dzisiaj projekt ten wydaje się jeszcze przedwczesnym. Może doprowadziłby on do pożądanych skutków we Francyi lub Anglii, ale nie *u nas*. Pomimo całego uznania dla płci pięknej — kończy brzydzący się snadź pochlebstwem autor — nie powierzyłbym naszym paniom udziału w sądzie przysięgłych.“

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Pamiętniki Szymona Konopackiego, Warszawa 1899, dwa tomy. „Bibl. dzieł wybor.“

Literatura pamiętników, wspomnień, listów itd. z pierwszej ćwierci XIX stulecia jest u nas stosunkowo bardzo zasobną. Imiona Drzewieckiego, Ogińskiego, Niemcewicza, Koźmiana, Dmochowskiego, Lubieńskich (Feliksa i Tomasza), Karpińskiego, Sanguszki, Wodzickiego, Dembowskiego, Wójcickiego, Falkowskiego — że już pominiemy opracowania specyalno - wojskowe, odnoszące się do epoki owej, obfitującej w doniosłe wypadki polityczne — są powszechnie znane. Do tego sutego pocztu przybywa imię Szymona Konopackiego, ale... kto wie, czy na długo, czy na stałe. W przedmowie do świeżo wydanych wspomnień z lat 1809—1820 (mniej więcej), p. J. A. Święcicki chwali słowami Tadeusza Jerzego Steckiego — „pamięć, rzeźwość młodzieńczą, ujmujący dar słowa, czystość i poprawność języka, prawdziwy purytanizm w przestrzeganiu form“ Konopackiego — form ortograficznych i gramatycznych zapewne, gdyż właściwy styl naszego pamiętnikarza wołyńskiego, logika jego kompozycyi, ścisłość w budownictwie, kwalifikują autora raczej do rzędu dawnych naszych bajarzy i gawędziarzy, którzy zbierając i spisując koszałki-opałki bieżącego, powszedniego życia, jedynie trafem ślepym wpadają na jakiś szczegół donioślejszy, na jakiś drobiazg malowniczy lub poważny — do większej całości przydatny.

Urodzony 16 paźdz. 1790 r. na Ukrainie we Wołodówce, którą ojciec jego Prokop trzymał czas jakiś w zastawie, przewieziony następnie, w niemowlęctwie jeszcze, na Wołyń, do wsi Szulajek, między Cudnowem a Romanowem, młody Szymon Konopacki, po skończeniu szkół powiatowych w Międzyrzeczu koreckim i Lubarze, wstąpił do palestry żytomierskiej i w 21 roku życia wybrany został przez współobywateli szlachtę na podsędka sądu ziemskiego; opuścił niebawem to stanowisko honorowe i w pogoni za chlebem jeździł do Petersburga, gdzie miał protektora w osobie magnata nowej kreacyi, Ilińskiego, głośnego w swoim czasie dziwaka i utracyusza. Przeniósł się później do Warszawy i za przyczynieniem się Aloizego Felińskiego, poety, otrzymał miejsce sekretarza komisyi, regulującej w myśl traktatu wiedeńskiego sprawy handlu i żeglugi w prowincyach składających przed r. 1777 Rzeczpospolitę Polską. Wrócił później na Wołyń, pełnił z wyboru obywateli rozmaite urzędy ziemskie, podkomorzego zwiahelskiego, prezesa izby cywilnej wołyńskiej (1844), marszałka powiatu Zasławskiego itd. Ożeniony w r.

1826 z Klementyną Łaźnińską osiadł w późniejszych latach w dziedzicznej wsi swojej Ławrynowiczach, gdzie do późnej starości, otoczony dziećmi, wnukami, gronem przyjaciół i znajomych, z zamiłowaniem oddawał się przygodnej pracy literackiej: pisał poezye, rozprawy archeologiczne, historyczne, artykuły do pism warszawskich. W Żytomierzu, w r. 1860 wydał w dwóch tomikach *Chronologię dziejów Królestwa Polskiego dla młodego pokolenia.* O jego wspomnieniach, pisanych na starość, przed śmiercią (1884) szlachta okoliczna opowiadała sobie rzeczy nadzwyczajne, a odgłos tej sławy dostał się do pism warszawskich, za pośrednictwem Tadeusza Jerzego Steckiego i Eustachego Skrzyneckiego, którzy o pamiętnikarzu Konopackim pisali w *Tygodn. ilustr.* (1869) i w *Kłosach* (1881).

W ciągu lat osiemdziesięciu Konopacki istotnie ocierał się o mnóstwo przeróżnych zdarzeń, które w kółku familijnem, na prowincyi, miały niegdyś pewne znaczenie, budziły ciekawość krewnych i sąsiadów. Szczególnie okres objęty dwoma dotąd wydanymi tomikami wspomnień mógł przed niewielu laty pociągnąć ku sobie i drażnić wyobraźnię współczesnych, jako najmniej u nas znany, jakkolwiek niezbyt odległy. Jak wiadomo, krajom wcielonym do Rosyi w trzech rozbiorach, pozostawiono pewien rodzaj samorządu. Zachowano mianowicie dawną księgę praw, czyli statut litewski, szkoły z wykładem w języku polskim, sądy jawne z obrońcami przysięgłymi, trybunały wybieralne, powiatowe i główne. W celach elekcyjnych odbywały się co trzy lata sejmiki, na których szlachta powoływała ze swego grona urzędowych reprezentantów, marszałków, którzy będąc pośrednikami między rządem a ziemianami, przedstawiali rządowi petycye o potrzebach ludności. Na Wołyniu były to „dobre czasy“ Czackiego liceum w Krzemieńcu i wzmocnionej, zabezpieczonej pańszczyzny, którą konstytucya sejmu wielkiego zachwiały nieco.

Gdyby Konopacki wyborną swą pamięć skupił był dokoła kilku główniejszych, wytycznych znamion tej epoki, byłoby zapewne nad czem się zastanowić i o czem mówić. Ale ciasny zakres jego wyobraźni ogarniał tylko kręgi najbliższych, osobistych i prywatnych zajść, wypadków, interesów, pożądań i kłopotów. Bieża z tego piasku Konopacki za Twardowskim nie ukręcił. Sypie się to mu z garści dość swobodnie, niekiedy nawet z namaszczeniem i pewnością taką, jak gdyby pamiętnikarz był przekonany, że ugory przyszłości zasiewa ziarnem prawd grubych jak ogórki. O własnej młodości wyraża się niekiedy z uwzględnieniem szczegółów, które nie zupełnie może byłyby na miejscu w autobiografii Kolumba lub Przybyszewskiego. „Zdarzenia lat pierwszych marzą mi się jakby senno... Przywodzę sobie przybycie do rodziców moich pani skarbnikowej Garbowskiej z Ożarówki, stryjenki matki mojej, z którą nazajutrz byliśmy w cerkwi szulajeckiej na nabożeństwie niedzielnem. Było to widocznie za czasów trwającej tu jeszcze unii i w porze letniej, bo przed wyjazdem jadłem dużo wisien. Ubrano mnie najparadniej, w błękitny gradeturowy kontusik z czarnym aksamitnym kołnierzem i mankietami, biały kitajkowy żupan i złocisty pas z frędzlami, przypasano mi i karabelkę z drewnianą klingą w porządnej czarnej pochwie. Słowem, tak ustrojonego w kompletny mundur województwa kijowskiego, zabrała mię babunia do swojej karety. Nim zdążyliśmy do cerkwi, zbytek wisien najniespodzianiej wybuchnął na jaw. Narobiłem psoty i obiem karety białem suknem i całej paradzie mojego munduru...“ Tak mocne wystąpienie na widownię życia publicznego nie razi nas z początku. Dobitna kolorystyczna plama, umieszczona w samej niejako przedmowie, zapowiadać zdaje się pisarza o umyśle śmiałym, oryginalnym, z temperamentem. Oczekujemy na odpowiednio zaakcentowane obrazy miejsc i ludzi, na sceny rodzajowe pełne realizmu i humoru. Daremnie! — jedna tylko szesnastoletnia Józia Bierzyńska, panienka posażna, wcześnie osierocona, przedmiot pierwszej miłości pamiętnikarza, pociąga nas czas jakiś prawdą i rzetelnością swego wyrazu, wśród pustki i nudy otoczenia do senności powszedniego, wśród ludzi tuzinkowych, raz trochę gorszych, to znowu nieco lepszych, ale tak zawsze miałko i pobieżnie przedstawionych, że nie czujemy w sobie najmniejszej chęci poznania ich lub zbliżenia się do nich. Nęka nas ta stepowa roślinność dusz zwiędłych, pospolitych, opisanych mdło i oschło, a gęsto posypanych zasuszonymi kwiatkami anegdot zwietrzałych, w rodzaju owej historyi o Słowackim z Drennik, stryjecznym bracie poety Juliusza, który się zakochawszy w pani Piotrowej Trypolskiej ze Stolpowa, wyzwał jej męża na pojedynek z powodu jakichś nieprawidłowo zamoczonych konopi, zabił go, uciekł za granicę i w łeb sobie palnął w Brodach, gdy z odpowiedzi marszałka Mikulicza na prośbę o sąd honorowy zmiarkował, iż nikt mu, za powrotem do kraju, ręki nie poda.

Tryb zajęć szlachty wołyńskiej rozpaczliwie poziomy, ale i ta poziomość rozwiewa się i niknie z opisów autora, wiązanych i urywanych co cztery, co pięć wierszy, odsyłaczami: „powiemy o tem jeszcze później, pod r. 1864 lub 1875, gdy Bóg dożyć pozwoli.“ Z tych nikłych, ciągle się rozpruwających wzmianek i napomknień, zaznaczamy wybitniejsze: rozmowy towarzyskie banalne, dławiąco płaskie, w bardzo rzadkich wypadkach przeplatane przedmiotami tak jeszcze wzniosłymi, jak wiara w wędrówkę dusz i możność zapamiętania tego, czegośmy już raz doznali w życiu „poprzedniczem“ (I, 9): praktyka pobożności i wiązanie się w rozmaite bractwa kościelne, jak np. towarzystwo sodalisów, które w dwóch przeszłych wiekach „było strażą wiary w dogmata naszego wyznania, mając za główną zasadę cześć dla N. M. Panny i obronę Jej sławy, choćby z krwi rozlewem“ (39): ubieganie się o rangi, patenty, mundury i tytuły jaskrawe, nabywane za gotówkę, jak owe np. głośne nazwy i ponsowe stroje kawalerów maltańskich, „pyszniących się w czasie zjazdu obywateli po ulicach gubernialnego miasta białemi strusiemi piórami przy stosowanym kapeluszu, brzęczącą szablą i złotymi bulonami generalskimi“: rozrzutność niekiedy bajeczna poza domem, życie w domu gorzej niż byle jakie, jak np. u niejakiego pana Bachtyńskiego, który nigdy mięsa nie kupował, ale „jak zobaczy na swoim dziedzińcu świnię ze wsi, to każe łapać i uszy jej obrzynać, a z tych uszu gospodyni gotuje mu potrawkę“ (74): wina, wety, toasty, tańce podczas zjazdów obywatelskich, bale we frakach i toaletach damskich, sprowadzonych z Paryża, a wszystko razem urządzone w szopie lub stajni zajazdu żydowskiego, gdzie „zwykle po stajniach słupy otoczono girlandami z liści i kwiatów, przy każdym słupie zapalono po kilka świec woskowych, a na belkach poprzecznych pozawieszano pająki z mnóstwem takiegoż światła“ (99), sprzedawanie majątków i przechodzenie na dzierżawy w jedynym celu zbliżenia się do źródła zabawy i rozrywki lub tylko dla znalezienia partnerów do gry w wista; niezmierna czułość, troskliwość i pieczołowitość o dobre wychowanie dzieci, które po paciorzu wieczornym, w łóżku, „okarmiano konfiturami“ (126): o ludzie, o podłym gminie nigdy i nigdzie najmniejszej wzmianki, czy istnieje na bożym świecie, dopiero gdy okoliczności wyrzucą na bruk miejski, na tułaczkę po cudzych kątach, ten i ów gotów się rozrzewnić i zapłakać na odgłos tęsknej, żałosnej, głębokiej pieśni wieśniaczej (II, 147) itd.

Z charakterystyk nieco grubszych notujemy tylko trzy — dwie wołyńskie i jedną warszawską. Bal w Zasławiu, u strażnika koronnego, księcia Janusza Sanguszki, na cześć zwiedzającego Wołyń, w początkach panowania Aleksandra I — W. Ks. Konstantego Pawłowicza (t. I, 135). Wizyta w Pohrebyszczach, u kasztelana Rzewuskiego (ojca znanego pisarza, Henryka). Konopacki przybył tam ze swoim kuzynem, Kazimierzem Budzyńskim, który od kasztelana nabywał piękną jego wieś podolską, Markusze. Bawili tam dwa tygodnie. Konopacki poznał wtedy, oprócz syna Henryka, dwie córki kasztelana, Aleksandrę Alinę, która wyszła za Moniuszkę i Ewę, która była za Wacławem Hańskim. Budzyński dobił nareszcie targu o Markusze. „Spisano punkta przedugodowe, których mocą nabywca obowiązał się zapłacić kasztelanowi za tę wieś sześć kroć sto tysięcy złotych. Skoro nastąpiła zgoda o ten szacunek, grzeczna, miła pani kasztelanowa tak słodko upomniała się o porękawiczne na szal tyftykowy, że Kazimierz Budzyński chętnie położył przed nią 200 dukatów“ (II, 10). Rozmowa u poważnego wiekiem i zasługą starosty hr. Augusta Kickiego w Warszawie, w r. 1817. Uszczypliwa baśń rozeszła się była po mieście, jakoby nieene kobiety, które opłacają pewien podatek za prawo do bezwstydu, podały skargę do właściwej władzy o to, że one doznają zmniejszenia rocznych dochodów z tej przyczyny, iż jaśnie oświecone i jaśnie wielmożne, bez żadnej opłaty, mieszają się tajnie do ich rzemiosła. Ktoś z obecnych przy nas powiedział o tem staroście. Ten dostrzegłszy nasze zdziwienie i uśmiech, zwrócił się do nas i rzekł: — Ja, który patrzyłem na ostatki panowania Stanisława Augusta i na pierwsze lata po upadku Polski, poświadczyć wam mogę, że obok owoczesnych dam znakomitego imienia, dzisiejsze są jakby skromne zakonnice. Dziś przecie, jeśli która w utajeniu zboczy, to oddaje hołd cnocie — nosząc dla świata jej markę...“ (II, 126).

Stare, znane to kawałki! Niektóre z nich wchodziły już nawet po razy kilka do rozmaitych zbiorków „dobrego humoru,“ które rząd pruski przed r. 1807 w Warszawie, a po r. 1807 we Wrocławiu, Poznaniu i Toruniu przedrukowywał dla pociechy i pożytku plebsu polskiego.

W Petersburgu podoba się mu bez mała wszystko, wszystko: i klimat i moralność i „obuwie skrzypiące“ i młodzi kniażkowie kształcący się po pensyonatach francuskich. Szczególniej jednak unosi się nad murami i granitem. „Nie miałem wyobrażenia — pisze — o tej okazałości, jaka mnie w każdym uderzała punkcie. Zachwycały mnie po ulicach kanały obrzeżone wygładzonym ciosowym kamieniem, z zawieszonymi nad nimi mostami... Tam błyszczy wierzchołkiem swoim górująca nad miastem pysznej budowy admiralicya, tu rycerski posąg Piotra W. na wspiętym koniu — a dalej wspaniałe gmachy, kościoły, pałace...“ Rzecz godna uwagi, że w obu dotąd wydanych tomikach wspomnień jest to jedyny opis trzymający się kupy, jedyny widok o konturach wzajem do siebie przystających.

K. Włostowski.



PRZEGLĄD TEATRALNY.

Tadeusz Jaroszyński: *Ścigana*, sztuka w czterech aktach, wystawiona w teatrze Michała Wołowskiego.

Przed kilku miesiącami dobiegło nas z Krakowa echo powodzenia „Karykatur" Kisielewskiego, pierwszej pracy scenicznej młodego i zupełnie nieznanego autora. Przed kilku tygodniami wystawił Feldman w Odeonie „Sądy Boże," pierwszy swój utwór dramatyczny. Przed kilku dniami oglądaliśmy w teatrze Wołowskiego „Ściganą," pierwszy dramat Jaroszyńskiego. Na scenach naszych pojawiły się zatem niemal równocześnie trzy nowe nazwiska, co więcej trzy nowe talenty. Zdaje się, jakby gleba duszy, wiecznie płodna, wiecznie rodząca, buchała roślinnością myśli i uczucia na przekór tym wszystkim fałszywym wróżom, którzy prócz dekadencyi nie widzą nic w młodem pokoleniu, na przekór tym, którzy wyciągają palec wskazujący w stronę literatury Zachodu i na przekór tym, którzy bastyonami intryg otoczyli fortece sceniczne, nie dopuszczając tego „co żyć godne." Z piersi trzech młodych autorów wyrwał się okrzyk protestu, wyrażonego nie jakimiś manifestami, ale dziełami, więc nie teoryą, lecz czynem. Żyjemy, tworzymy, słuchajcie nas! — brzmi z tych dzieł pierwszych, a brzmi silnie i z wiarą. Słuchajcie ich — wtóruje głos rozsądku — w przeciwnym bowiem razie tem gorzej — dla was!

Tak — dla was! Palma nie obleczе się zielenią na lodach bieguna, a biały niedźwiedź nie wyżyje pod ognistemi strzałami słońca na równiku. Każdy organizm tętni tylko własnymi pulsami i każdy naród oddycha głęboko tylko sztuką swojską.

Jaroszyński zerwał zasłonę z kawałka codziennego życia i ukazał je nam w całej jaskrawości.

Z przepaścistych trzęsawisk społecznych strzeliła ludzka lilia ku słońcu, obraca białą twarz za jego promieniami jasnymi i chce oddychać czystem powietrzem. Ale wnet ze wszystkich stron wyciągają się drżące ręce, aby ją uszczknąć, popieścić się chwilę wonią uroczą i rzucić napowrót do błota, nad którem wyrosła. Tą lilią ludzką jest Wanda Zalaska, córka byłej kokoty. Mieszkają na „czwartaku" nad rojnem podwórkiem kamienicy, której lokatorki wymyślają sobie przez okna, biją się, a stróż i stróżka wszystkich donżuanów odsyłają „pod nr. 13, na pierwsze piętro, po schodach." Niejeden zapędził się za Wandą, straciwszy ją z oczu wypytuje stróża, a ten odsyła go pod nr. 13, gdzie osiadł wypudrowany i wymalowany kamień obrazy wszystkich lokatorek. Ale przecież jednemu z donżuanów udało się wynaleźć kryjówkę Wandy. Cnotliwa? Twarda? Nie da się uszczknąć? Niema sposobu? Czem się trudni? Kto jej matka? Żyje z lekcyi? Gdzie, u kogo? Odebrać jej lekcye, popsuć reputacye, znajdzie się w położeniu bez wyjścia, ulegnie. Rozpoczyna się pościg. Dziewczyna wymyka się jak łania. Ale sidła zastawiono wszędzie. Dostała miejsce w domu bogatego fabrykanta, jest boną jego dzieci. Ale i tam ją oczerniają; pan domu sunie pierwszy w zalecanki, żona podpatrzyła go, wyrzucają dziewczynę ze skandalem. Wraca do matki; ale tam głód. Stara się znowu o lekcye, ale żądają panny „z dobrego domu." Stara ex-kokota wpada w wściekłość i filozofuje: niech oni się pytają, czy skończyłaś klasy, ale nie o to, czy jesteś z dobrego domu! Nietylko oczy drapieżnych samców obracają się za Wandą, ale i młodzieńców z uczciwymi zamiarami. Zjawia się smutny chłopiec z bukietem, głupi bo głupi, ale zakochany, aż serce się kraje: prosi ją wreszcie o rękę dzielny Świda, nauczyciel muzyki — i sprawa ludzkiej lilii byłaby skończona, gdyby nie los — a Jaroszyński pokazuje nam, że pęta ciernowe tego losu tworzy nie jakaś fatalna siła, potężna i nieznana, lecz ludzie, tak, ludzie, źli ludzie. Zwabiają podstępnie dziewczynę do mieszkania donżuana, zamykają wszystkie drzwi, usuwają służbę. Dziewczyna chwyta ze stołu rewolwer. Strzelaj — woła donżuan, udając bohatera. Trzask, opada kurek — rewolwer był nienabity. Zuchwalec rzuca się na dziewczynę. Ale ona raz jeszcze wymyka mu się jak ścigana sarna, a ujrzawszy okno otwarte, wyskakuje z niego na ulicę i zabija się.

Jaroszyński zebrał całą galeryę typów i przesuwa je przed naszemi oczami. Prawie wszystko żyje, bo wzięte z obserwacyi. Powiadamy: prawie, gdyż obok postaci rysowanych z natury, wkradło się kilka sztucznych i przeto bladych. Ale to nas bynajmniej nie martwi. Autor, który daje w pierwszem dziele rzecz skończoną, zazwyczaj nie zajdzie daleko. Błędy być muszą i niech będą, jeśli przeważają zalety; z błędów można się otrząsnąć, ale zalet nabyć nie można. Jaroszyński wywarł na nas wrażenie młodego, bujnego talentu, który z siłą żywiołową wybucha, z całą jaskrawością, z wszystkimi błędami nieokiełzanej przez doświadczenie twórczości, który sam najlepiej wie i odczuwa, czego mu brakuje, który niebawem opanuje się i polot fantazyi ujmie w karby artyzmu.

Publiczność przyjmowała autora gorąco. Padło nawet kilka bukiecików. Wracaliśmy z Bagateli uszczęśliwieni.

Andrzej Niemojewski.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZESILENIE ROLNE ZA GRANICĄ *).

Gdy przed dwudziestu laty zaczęto przebąkiwać o kwestyi rolnej, ekonomiści z olimpijskim majestatem wzruszali ramionami, uśmiechając się pobłażliwie ze świętej naiwności. Minęło kilka lat, a przesilenie szalało z coraz większym rozmachem. Ekonomiści, przyparci faktami do muru, uznali istnienie zamorskiej konkurencyi, przepowiadając jej wszakże przemijające znaczenie. Czyż bowiem jakakolwiek gałąź przemysłu mogłaby wbrew sakramentalnej formułce nauki gospodarczej przez czas dłuższy wytwarzać niżej kosztów produkcyi? Po za tem wszystko było w porządku. Tylko co patrzeć, a życie chwilowo wytrącone z równowagi wróci do stanu spokoju i niezmąconej harmonii. Lecz stała się rzecz dziwna, nieprzewidziana. Przesilenie, jakby na przekór optymistycznym przepowiedniom, trwało nieustannie w dalszym ciągu, srożąc się tak zaciekle, iż groziło ruiną dziedzinie, która dawała utrzymanie milionom ludzi. Nie pozostawało nic innego, jak ukorzyć się przed niezbitym faktem i poddać go sumiennemu rozbiorowi. W toku tych badań wyszły na jaw rzeczy dziwne, gdyż rozmijające się z utartemi prawdami ekonomii politycznej. Słyszał bowiem kto, aby sztajnkellerka mogła iść w zawody z koleją żelazną, aby świeca łojowa wchodziła w drogę elektryczności? A jednak w rolnictwie napotykano coś podobnego. Ekonomiści przysięgali na wszelkie świętości swej wiedzy, iż wielka produkcya musi wcześniej lub później pobić na całej linii drobną i na polu usianem trupami zwyciężonych stworzyć nowe formy techniczno-wytwórcze. W rolnictwie wszystko szło jakby naopak. Zastępy drobnych rolników nietylko nie rozrzedzały się, lecz przeciwnie rosły z roku na rok. Z pierwszego rzutu oka rzecz wydaje się niemożliwą. Niejeden z nas potrafiłby przytoczyć stronice studyowanego na ławie uniwersyteckiej dzieła, gdzie nam opisano cały proces walki ekonomicznej wielkiej produkcyi z drobną w sposób tak szczegółowy i obrazowy, iż upajaliśmy się dramatycznym charakterem zjawiska. A tu każą nam wierzyć, iż historya zboczyła z wytkniętych jej torów. Przyjrzyjmy się przebiegowi rzeczy na podstawie świeżo ogłoszonej pracy jednego z ekonomistów niemieckich *).

Rozwój miast wyzwolił wielkie rolnictwo z powijaków gospodarki naturalnej. Powstające na rynku międzynarodowym zapotrzebowanie na wełnę i drzewo zniewala wielkich właścicieli ziemskich do jęcia się wszelkich możliwych środków, aby módz na własną rękę zaopatrywać rynek w produkty odnośne. Lasy i pastwiska zostają oczyszczone od ciążących na nich serwitutów lub wykupione na własność dziedzica. Właściciel ziemski, nie mając rąk związanych rutyną pańszczyźnianą, zaczyna dostarczać zboża do miast, gdzie wzrost ludności podnosi stopniowo cenę środków spożywczych. Tradycyjna trójpolówka nie zda się teraz na nic, a jej miejsce zajmuje z czasem płodozmian i system paszy stajennej, oraz uprawa roślin pokarmowych i handlowych. Przedpotopowe narzędzia ustępują miejsca maszynom, od których datuje się nowa epoka w rolnictwie. Przedzierzga się ono dzięki nim stopniowo w gałąź, mogącą podążać za potrzebami rynku, w przemysł wywozowy.

W takiem wyposażeniu i rynsztunku staje wielkie rolnictwo do walki z gospodarstwem chłopskiem. A tu w dodatku przybywa cały szereg przywilejów ekonomicznych, z których korzysta wielki właściciel ziemski. Naprzód na większym obszarze da się zastosować podział pracy, niezaprzeczenie potęgujący wytwórczość. Wielkie dominium może zaprowadzić mnóstwo oszczędności, zwłaszcza w sferze zarządu. Rolnik większego kalibru, obyty z nauką agronomiczną, śledzi jej rozwój i posługuje się jej zdobyczami. Gdy mu brak na ten cel kapitału, stoją przed nim otworem podwoje domów bankierskich, do których nie odważy się zapukać mizerak rolny. Kredytu długoterminowego udzielają wielkiemu producentowi na warunkach przystępnych stowarzyszenia kredytowe ziemskie, których progi są za wysokie na obuwie w łapcie nogi wieśniaka. Słowem, wszyscy i wszystko sprzyja Goliatom rolnym w ich pojedynku z małymi Dawidami wiejskimi. A mimo to — tu sęk całej kwestyi — olbrzym nie może pokonać karła. Jeden istnieje obok drugiego, a nawet rośnie. Rzecz tem dziwniejsza, iż cała gromada klęsk sprzysięgła się przeciwko chudym pacholkom, odkąd wydostali się z pod jarzma pańszczyźnianego. Sfera gospodarstwa wymiennego nieszczególnie służy chłopu. Urodzaje, których pożąda, zniżają ceny tak fatalnie, iż Ludwik XVIII ubolewał, że drogą prawodawczą nie można zażegnać opłakanych skutków nadmiaru podaży rynkowej. Utrata łąk gminnych uszczupla inwentarz żywy, a co za tem idzie — niedostateczna mierzwa wyjaławia ziemię i sprowadza nieurodzaje. I oto w takich warunkach musi istnieć kmieć, mając tuż

*) Ze względu na wielką doniosłość tego procesu, który według nas przybierze wkrótce bardzo ostry charakter przesilenia ekonomicznego, a dla nas posiada pierwszorzędne znaczenie, zamieszczamy to drugie oświetlenie położenia, dopełniające poprzedni artykuł dr. Marchlewskiego. *Red.*

*) Kautsky: *Die Agrarfrage*. Eine Uebersicht über die Tendenzen der modernen Landwirthschaft. Stuttgart, 1899, str. 451.

pod bokiem potężnego konkurenta. Jakimże cudem może on ostać się wobec nawałnicy nieszczęśliwych okoliczności?

Dwa fakty tłomaczą nam odporność i długowieczność gospodarki wiejskiej. Stojąc nad krawędzią zagłady, zaglądając co chwila swej ruinie ekonomicznej w oczy, wieśniak zachodnio-europejski wytęża wszystkie swe siły, a co gorsza — wycieńcza pracą nietylko siebie, lecz zarazem swe bezbronne dzieci, które padają pod nieludzkiem brzemieniem pracy. Im gorszą jest ziemia, im większe postępy robi technika wielkiego rolnictwa, tem zawzięciej przepracowywa się chłop. Odbija się to o tyle smutniej na jego osobie, iż pracując jak bydlę juczne, obniża swą stopę życiową i obcina budżet swych zapotrzebowań, ograniczając się do wydatków najniezbędniejszych. Duch jego pozostaje głodnym, a z czasem pod wpływem stępienia przestaje pożądać. Wtedy kiedy wszystko goni za światłem, on jeden posuwa się naprzód omackiem. Angielska ankieta agrarna wydobyła w tej mierze na jaw rzeczy nader smutne. Chłop angielski odzwyczaja się od mięsa i staje się jaroszem. Życie jego jest tak szczelnie wypełnione robotą, iż niema tam ani jednej chwili dla kształcenia ducha. Cóż dziwnego, że wieśniak zachodnio-europejski, a zwłaszcza niemiecki, stał się łupem kłamliwych agitatorów, wyzyskujących go pod płaszczykiem demokratycznej życzliwości na korzyść obozów, które roją o przywróceniu romantyki średniowiecznej. W tej ciężkiej niedoli ratują go nieco stowarzyszenia rozmaitego rodzaju, jak kasy Schultzego z Delitscha, a jeszcze więcej Raiffeisena, przykrojone do jego bytu. Przydały się trochę chłopom stowarzyszenia dla wspólnego zakupu; związki współdzielcze prawdopodobnie daleko poważniej przyszłyby im z pomocą, lecz przedewszystkiem zdolność organizacyjna była zawsze słabą stroną chłopa, wyrastającego w nieufności do swych współbraci, a tem bardziej do surdutowca, bez którego w tych wypadkach obejść się trudno, powtóre wielka własność ziemska bynajmniej nie w ciemię bita i nauczona smutnem doświadczeniem przesilenia, o czem mowa niżej, sama nie zasypia gruszek w popiele, organizuje się znakomicie i z takiem powodzeniem, iż chłop na tem polu nie może odnieść wielkich tryumfów. Pojmujemy zatem, iż dzięki swym skromnym wymaganiom i syzyfowej pracy zdołał on otoczyć swą placówkę ochronnymi wałami od powodzi ruiny. Lecz na tem nie koniec. Statystyka dowodzi niezaprzeczenie, iż drobna własność rozmnaża się tempem szybszem, niż jej potężna rywalka. Ażeby to zrozumieć, musimy wziąć pod uwagę cały szereg okoliczności, stawiających tamę wzrostowi wielkiej własności ziemskiej.

Owe sławetne maszyny, o których wspomnieliśmy wyżej, nie są tak mile widziane w rolnictwie, jak można było mniemać. Ziemia bądź skutkiem swych właściwości gruntu, bądź ze względu na formy, nie zawsze nadaje się do uprawy maszynowej. Robotnik wiejski w większości wypadków tępy i ograniczony, nie potrafi kierować delikatnem i skomplikowanem narzędziem mechanicznem. Częste reparacye, tak uciążliwe na wsi, koszty zakupu niezmiernie wysokie zniechęcają do wprowadzania maszyn. (Pomyślmy, iż pług parowy z dwiema lokomobilami kosztuje 40,000 marek). Przypuśćmy jednak na chwilę, iż ukształtowanie uprawy podług ostatniego słowa wiedzy agronomicznej idzie jak z płatka. Nawet w tym wypadku pochód tryumfalny wielkiej produkcyi napotyka w rolnictwie nieprzezwyciężone szkopuły. Nowa fabryka obuwia nie troszczy się o istniejące w mieście warstwy szewckie, zagarnia im z pod nosa klientelę i basta! Wcześniej czy później rzemieślnicy zwiną chorągiew. W rolnictwie rzecz dzieje się inaczej. Dziedzic, który chce rozszerzyć swe posiadłości dla powiększenia produkcyi, musi koniecznie nabyć grunta ościenne. Czyli wyrażając się terminami ekonomicznymi— możnowładca rolny może skupiać majątki, nie osiągając wszakże centralizacyi przemysłu rolnego. Sporo lat musi upłynąć, nadto trzeba szczęśliwego zbiegu okoliczności, aby jedno dało połączyć się z drugiem. Nadomiar złego wzrost obszaru tylko do pewnego punktu sprzyja uprawie intenzywnej z zastosowaniem wszelkich udoskonaleń. Słynne boszsanze amerykańskie mają racyę bytu tylko przy gospodarce rabunkowej, gdzie dzięki urodzajności ziemi rolnik nie powinien dokładać wielkich starań, ani troskliwie doglądać swej rodzicielki, gdyż bez nawozu, bez licznego inwentarza żywego, bez płodozmianu wynagradza z lichwą jego wysiłki. Potentaci europejscy mogą dokonywać skupiania w sposób dwojaki: albo wypuszczają majątki swe częściowo w dzierżawę, przyczem gospodarstwo prowadzi się na małą skalę, albo też skupują dobra w rozmaitych okolicach i tworzą z nich latifundya, których zaletą jest jednostajna gospodarka z jednolitym zorganizowanym zarządem podług wskazówek udzielanych z instytucyi centralnej. Widocznie latifundya wychodzą wcale nieźle na swych interesach, skoro posiadłości ich nabrzmiewają. Podług Rud. Meyera, 62 potentatów pomorskich posiadało w 1855 r. 229 dóbr, w 1891 r. zaś 485 z obszarem 261 tys. hektarów.

(D. n.).

Przedm.

W DALI.

Petersburg. *Now. Wr.* podaje następujące szczegóły o kolejach syberyjskich: Na oddziale Czelabińsk—Irkuck w r. 1896 przewieziono 344,000 osób i 11 i pół mil. pudów towarów, w r. 1897 już 512,000 osób i 26 mil. pudów, w r. 1898 zaś 948,000 osób i 37 mil. p. Wreszcie w ciągu dwóch pierwszych miesięcy r. b. wielka kolej syberyjska przewiozła przeszło 14 mil. pudów, w maju zaś, na jednej tylko kolei środkowo-syberyjskiej przeszło 1,200 wagonów czekało po 2 miesiące swojej kolei w kierunku za Bajkał, gdzie był nieurodzaj zboża. Jednocześnie z tym olbrzymim ruchem — pisze gazeta — ciemne siły kraju powstają przeciwko nowościom cywilizacyi i mszczą się za spokój zamącony. W tej zemście łączą się i ludzie i żywioły. Mosty drewniane kolei Syberyjskiej palą się zbyt często i podejrzanie. Od wiosny r. z. na kolei środkowo-syberyjskiej spaliło się 8 mostów. Siły żywiołowe znowu zwaliły się głównie na kolej Zabajkalską. W r. 1897 była tam powódź, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają i dla której należało zmienić cały profil tysiącowiorstowej linii. Następstwem powodzi był zupełny nieurodzaj, a nieurodzaju — głód i choroba syberyjska, której pastwą padło 6,000 koni. Zarazie towarzyszył pomór bydła i szkorbut, zapełniający lazarety. Już ten treściwy wykaz przekonywa o potrzebie całej masy rozporządzeń naglących. Wszystkie te sprawy mają być teraz rozważane po powrocie z Syberyi p. ministra komunikacyi. Na kolei Zabajkalskiej jest już gotowa przestrzeń od Stretenska 550-wiorstowa i od Mysowej 70-wiorstowa, pozostaje więc jeszcze do ułożenia około 350 wiorst. W ten sposób około 13 czerwca r. p. linia zabajkalska będzie już należała do sieci ogólnej kolei żelaznych rosyjskich. Na drodze ku granicy chińskiej zogniskowano około 10,000 robotników i wysłanych do robót ciężkich, można więc liczyć, iż najdalej za trzy lata i tam będzie otwarty prawidłowy ruch pociągów.

Grodno. Jeszcze nie znaleźli dachu pogorzelcy Prużany, gdy oto wielki pożar nawiedził Grodno. Spaliło się około 140 domów, zamieszkałych przez ludność najuboższą, żydowską. Nadto spłonęły: synagoga, szpital wojskowy, składy straży ogniowej, pięć szkół żydowskich, dom modlitwy, fabryka gilz, wiele warsztatów drobnych, sklepów i pięć domów dużych. — Komitet, utworzony w Prużanie dla niesienia pomocy pogorzelcom, podzielił swe czynności w ten sposób, że jedna część członków komitetu ma zbierać ofiary w naturze lub pieniądzach i rozdawać je, a druga zarządza założoną umyślnie herbaciarnią. Zakład ten otwarty jest codziennie od godz. 7—10 rano i od 5—8 wieczorem. Pogorzelcy otrzymują bułkę z herbatą. Z pośród inteligencyi miejscowej — pisze *Kuryer Warsz.* — przychodzi codziennie kilka osób, które zajmują się rozdawaniem pożywienia. Głównymi opiekunami tej instytucyi dobroczynnej są: p. J. D. Wiśniakowski, p. E. Birnbaum, pani Klara Grodzieńska i pani C. Goldfajn. Z poblizkich miast pospieszyły dotąd z pomocą: Mińsk, Brześć Lit., Kobryń, Szerszaby i Kartus Bieroza. Mieszkańcy Brześcia dostarczyli hojnie odzieży i chleba.

KRONIKA.

Lekarze gminni. Zarządy lekarskie w kilku guberniach Królestwa Polskiego wszczęły kwestyę utworzenia posad lekarzy gminnych, którzy byliby pomocnikami powiatowych. Obowiązki ich polegałyby na utrzymaniu dozoru nad zdrowiem mieszkańców gmin i oswobodzeniu ludu od opieki różnych znachorów, babek itd. Według zebranych danych w każdym powiecie powinno być po 2—3 lekarzy gminnych, względnie do ogółu ludności. Kwestya ta ma być wkrótce — jak donosi *Warsz. Dn.* — rozstrzygnięta przez departament medyczny ministeryum spraw wewnętrznych.

Taksa aptekarska. Departament lekarski ogłasza: Zamiast istniejącej obecnie taksy aptekarskiej rada lekarska ułożyła nową, zatwierdzoną przez ministra spraw wewnętrznych i wchodzącą w wykonanie w stolicach d. 13 września 1899 r., a w pozostałych miejscowościach Rosyi europejskiej d. 13 października r. b. O wprowadzeniu w życie nowej taksy z dodaniem procentu od ceny sprzedażnej lekarstw w środkowo-azyatyckich guberniach syberyjskich i obwodach, oraz na Kaukazie, wydane będzie osobne rozporządzenie.

Wystawy i zjazdy. W Krakowie czynione są przygotowania do zjazdu techników polskich, w którym bierze udział także wiele warszawskich zakładów przemysłowych.

— W jesieni r. b. w gub. północno-zachodnich odbędzie się kilka wystaw rolniczych, nietylko w większych miastach, ale i po wsiach i miasteczkach. Wystawa wileńska trwać będzie od 1—12 września: w Rosieniach w gub. Kowieńskiej projektowany jest konkurs maszyn i narzędzi rolniczych miejscowego Towarzystwa rolniczego; wreszcie w Płungianach, w pow. Telszewskim, w gub. Kowieńskiej, ma się odbyć wystawa rolnicza i drobnego przemysłu między 27 a 29 września, z inicyatywy rolników okolicznych.

Szkoły. W r. przyszłym otwarta będzie w Skierniewicach szkoła techniczna kolejowa.

— Z początkiem roku szkolnego powstają w Warszawie dwie szkoły miejskie trzyklasowe, z nauką rzemiosł. Opłata roczna 20 rb.

— Ministeryum oświaty wyjaśniło, że chociaż, na zasadzie istniejących przepisów, egzaminy uczniów klasy przygotowawczej powinny być uznawane nie jako przejściowe, lecz wstępne do klasy I, pomimo to rady pedagogiczne szkół realnych mają prawo uwalniać od egzaminów najlepszych uczniów klasy przygotowawczej, odpowiadających wymaganiom, wyłuszczonym w p. *a.* § 31, z tem wszakże zastrzeżeniem, aby uczniowie tacy liczyli się jako kandydaci do klasy I i zapisani byli na listę uczniów dopiero po ukończeniu egzaminów wstępnych na początku roku szkolnego.

— Wkrótce przy okręgu naukowym warszawskim utworzoną będzie komisya egzaminacyjna, w celu sprawdzania od czasu do czasu zdolności pedagogicznych personelu nauczycielskiego w gimna-

zyach, progimnazyach i niższych zakładach naukowych miejskich i wiejskich.

— Gazeta *Syn Otieczest.* donosi, że po wakacyach przybędzie do Królestwa komisya, złożona z przedstawicieli ministeryum oświaty, w celu zbadania na miejscu obecnego położenia szkolnego w kraju tutejszym. Komisye takie wyjadą jednocześnie na Kaukaz i do kraju Turkiestańskiego.

Koleje i komunikacye. W zarządzie kolei Nadwiślańskich opracowano i przysłano do opinii głównego zarządu kolei skarbowych projekt ułożenia drugiego toru na oddziale Praga-Iwangród.

— Do ministeryum komunikacyi nadeszło podanie w sprawie budowy kolei elektrycznej z Kamieńca Podolskiego do Płoskirowa.

Przemysł i handel. Otwarty w Warszawie oddział Cesarskiego Towarzystwa hodowli ryb i rybołówstwa zwrócił uwagę na rabunkowe tępienie ryb w wielu rzekach. Niektóre rzadkie gatunki w Wiśle, Bugu, Warcie i Pilicy zniknęły zupełnie.

Kilka cukrowni w Królestwie Polskiem wysłało do gub. Mińskiej i Witebskiej swoich agentów celem wynajęcia robotników na sezon jesienny.

— W sferach właściwych zwrócono uwagę na to, że instytucye rządowe zbyt powoli wydają swą opinię o projektach ustaw nowych stowarzyszeń akcyjnych, skutkiem czego zmuszono są one bardzo długo czekać na zatwierdzenie, a niekiedy nie dochodzą zupełnie do skutku. Komitet ministrów postanowił obecnie, jak donosi *Now. Wr.*, że opinie o projektach ustaw winny być dostarczone ministeryum skarbu w terminie miesięcznym, licząc od dnia przedstawienia ustawy; jeżeli to zaś nie nastąpi, w takim razie interesowani mogą przedstawić swe projekty ustaw wprost do zatwierdzenia komitetu ministrów bez opinii właściwych instytucyj, ale z nadmienieniem, że nie otrzymano opinii w określonym przeciągu czasu.

Katastrofy. Z Krakowa donoszą, iż dn. 6 b. m. pod Krzeszowicami pociąg pospieszny zetknął się z innym. Jeden wagon zdruzgotany, pięć osób pokaleczonych.

— Na linii Paryż-Nantes na dworcu w Juvisy zetknął się „Express" z innym pociągiem, wysłanym o kilka minut wcześniej. Zabitych 17 osób, rannych 73.

— Kilka burz gwałtownych przeszło nad różnemi okolicami Królestwa i poczyniło znaczne szkody. W jednem miejscu piorun zabił dziewczynę, w innem ogłuszył kilku ludzi.

Zmarli. Jan Barszczewski, zdolny i sumienny li-[illegible] i dziennikarz, sekretarz redakcyi *Kuryera Codziennego*, zmarł w Warszawie na paraliż serca. Liczył 37 lat.



OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **dr. fil. A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 30 Іюля 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, 8.